№ 49. Warszawa, dnia 8 Grudnia (26 Listopada) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

OD REDAKCYI.

Pismo nasze w roku przyszłym poniesie dotychczasowy swój sztandar: prawdy, uczciwości, swobody przekonań i troski o te skarby, które stanowią nasz dorobek cywilizacyjny, oraz o te czynniki i siły, które życiu naszemu zapewniają bezpieczeństwo i rozwój.

Niezależnie od starań naszych w podnoszeniu treści pisma, jego **dodatek bezpłatny** będzie znacznie powiększony. Resztę tomu IV **Główne prądy literatury XIX stulecia** podzielimy w zwiększonych zeszytach na trzy części, tak że starsi abonenci nasi w czerwcu mieć będą całe dzieło Brandesa. Miarą jego wartości jest fakt, że zostało ono przed ukończeniem prawie wyczerpane. Na drugie półrocze roku przyszłego i pierwsze następnego w dodatku bezpłatnym wydamy:

EKONOMIĘ SPOŁECZNĄ

spolszczoną według świeżej zbiorowej pracy kilkudziesięciu znakomitych uczonych niemieckich. Książka ta obejmie około 400 stronic wielkiej ósemki i stanowić będzie gruntowny podręcznik, jakiego literatura nasza dotąd nie posiada. W handlu księgarskim kosztować ona będzie rs. 2 kop. 50.

Dla ułatwienia nowoprzybywającym abonentom nabycia początku tomu IV (stanowiącego zamkniętą w sobie całość) dzieła Brandesa, zniżamy dla nich cenę dwu zeszytów początków (z dwu ostatnich kwartałów) z rs. 1 na kop. **50**.

Przypominamy, jak zwykle, że jedynie wczesne nadsyłanie przedpłaty do Administracyi naszej zapobiega opóźnieniom w wysyłce lub brakom w odbiorze **Prawdy**.

Abonenci roczni.

Z pierwszym śniegiem, jak corocznie, spadły prospekty rozmaitych pism, obiecujące przyszłym prenumeratorom pomyślność na ziemi i zbawienie w niebie. Ten środek kokieteryi wydawniczej tak nas z sobą oswoił, że nie bierzemy mu za złe nawet samochwalstwa i niemających się nigdy spełnić przyrzeczeń. Ogół, który nie od nowego roku dopiero czytać zacznie, zna te cacanki, uśmiecha się na nie pobłażliwie i rozebrawszy je ze złotych sukienek, wybiera sobie tę, która jego słabościom, gustowi lub potrzebom najlepiej odpowiada. Niepodobna wszakże powiedzieć, ażeby tym prospektowym umizgom nie ulegało bardzo wielu czytelników. Jeśli Guyot w miliony ludzi wmówił, że im swemi pigułkami przywróci zdrowie, dlaczegoż by reklama na innem polu nie miała zbierać obfitych plonów? Jej trąba zmienia często swe tony. Po walce na sztandary i siły zapaśnicze, nastąpił obecnie w naszej prasie wyścig na premia. Licytacya odbywa się przez dokładki: jeden daje za złoty funt cukru, drugi funt cukru i figę lub migdał. Książki, albumy, obrazy, buhaje, ogiery—wszystko przesuwa się w panoramie przed oczyma publiczności, łaknącej podarków gwiazdkowych. O rozwoju treści wydawnictw rzadko kto wspomina; każdy wysila się na ilość, nie na jakość zadrukowanego papieru. Ten daje format stu cali kwadratowych, tamten przypuszcza kilka więcej, inny znowu oblicza wiersze i litery w każdym numerze swego pisma.

Nie wchodzimy tu w rozbiór prawdopodobnych skutków tego jarmarku pod hasłem: „taniość i elegancya,“ który grozi wprowadzeniem do nas zbankrutowanej zasady przemysłu niemieckiego: *schlecht und billig*; zwrócimy tylko uwagę na przywileje osobnej i szczęśliwej klasy abonentów rocznych.

Być może, iż metodę dyskontowania przedpłaty zawdzięczamy gazetom rosyjskim, które ją stosują po lichwiarsku. Tak np. dziennik, który *rocznie* kosztuje rs. 8, *miesięcznie* rs. 1 (na rok 12), czyli wydawca za raty pobiera 50%. Jeżeli abonament rozkłada się na części miesięczne lub kwartalne, to naturalnie dlatego, że są ludzie, którzy całej należności odrazu wnieść nie mogą. Zdawałoby się więc, że ci powinniby korzystać z ulg. Tymczasem dzieje się całkiem przeciwnie: biedny płaci rs. 12 za to samo, za co bogaty 8. Nasze pisma nie obciążają takimi procentami swych prenumeratorów, ale niektóre z nich również weszły na drogę zmniejszania ciężaru zamożniejszym. Niesprawiedliwa ta spekulacya występuje przy premiach. Otrzymują je coraz częściej tylko abonenci roczni, którzy złożyli całkowitą należność z góry. Nie przeczymy, że są to lepsze runa, bo można je wcześniej zamienić na listy zastawne i odciąć kupony; ale czy ubogi abonent, któremu środki pozwalają jedynie na częściową spłatę, winien być pozbawiony dodatku do pisma? Czem on jest gorszym od innych; prócz tego, że biedniejszy? Przy takiej zasadzie czytelnictwo u nas nie rozpostrze się nigdy w szerszych kręgach, lecz pozostanie zawsze przyjemnością klas zasobnych. Jeśli zaś nakładca nie może zrzec się korzyści z otrzymanych wcześniej przychodów, to niech nią lepiej opodatkuje wszystkich prenumeratorów i podniesie

cenę sprzedażną. Wtedy bogaty będzie płacił więcej, a ubogi mniej.

Fakt ten nie jest nowym i od całości ekonomicznego ustroju oderwanym. Stanowi on tylko jeden przejaw ogólnego ustosunkowania się przywilejów kapitału rozmaitego stopnia. Żebrak żyje względnie drożej, niż Rotschild; ostatni kupując wszelkie produkty żywności w masach, nabywa je taniej, niż pierwszy, który musi kupować w drobnych cząstkach. My płacimy za funt dobrej herbaty 2 rs, a wyrobnik tyleż za funt wymoczyn i siana. Literatura może najdłużej broniła się od wyzyskiwania tego pomysłu. Ale wreszcie i ona uległa ogólnym prawom handlu. Dziś nakładca daje rocznym abonentom premia lub ustępuje im rabat, uwalniając od kosztów przesyłki towaru, jutro pójdzie jeszcze dalej w ulgach, tylko biedni nigdy z nich nie skorzystają. Rubel będzie miał zawsze mniej praw niż kopiejka, abonent roczny więcej niż miesięczny lub kwartalny.

Co do nas strzegliśmy się tej niesprawiedliwości przy wszystkich przedsięwzięciach. Nawet drobna przewyżka (3 kopiejki) abonamentu miesięcznego *Prawdy* jest pozorną, gdyż korzystają z niego niemal wyłącznie studenci, którzy otrzymują rabat. Strzegą tej zasady i inne jeszcze pisma, ale dyskontowanie przedpłaty rocznej zaczyna występować coraz częściej — rzeczywiście niczem (prócz swobodą handlu) nieuzasadnione a bardzo szkodliwe.

WYDAWNICTWA LUDOWE *).

W jednym z poprzednich artykułów, poświęconym temu przedmiotowi, zaznaczyliśmy już mimochodem stanowisko, jakie, według naszego zdania, zająć winna inteligencya względem ludu. Rola jej polega nie na „zstępowaniu do chat wieśniaczych,“ nie na „podnoszeniu“ młodszych braci do siebie, ale po prostu na pomocy ludowi w uświadomieniu sobie swego położenia, na dostarczaniu mu materyałów naukowych, niezbędnych dla wybrnięcia z tego chaosu moralnych i społecznych powikłań, który sprowadziła nagła zmiana warunków jego bytu. Bezwiednie jeszcze, ale budzi się już w lepszych jednostkach poczucie potrzeby tej działalności, budzi się wstyd, szepczący nam do ucha, że wobec tej ciemnej masy, błądzącej na oślep nieraz o chłodzie i głodzie, nikt nie ma prawa do bezczynnej wegetacyi w cieplarnianej atmosferze wygód materyalnych i estetycznych zachwytów. Nie chodzi tu już o korzyść, jaką społeczeństwo pozyska ze zwiększenia szeregów obywateli (chociaż i tego względu lekceważyć nie należy), ale o spełnienie najprostszego obowiązku, o znalezienie podstaw moralnych dla własnego swego istnienia. W tym kierunku iść może inteligencya dwoma drogami. Pierwsza z nich, to jest działalność praktyczna, bezpośrednia, wymaga wielkiego zaparcia się siebie, niezmiernej siły woli, której żadne przeszkody złamać nie potrafią, wytrwałej, mrówczej roboty z dnia na dzień, rachującej się z okolicznościami, niezniechęcającej się niczem. Przymiotów tych brak nam jeszcze, pomijając zresztą niezależne okoliczności. Pozostaje więc tylko druga droga wpływu—książka. Jest ona może mniej skuteczną, ale za to do urzeczywistnienia łatwiejszą. Co prawda, książek takich mamy jeszcze bardzo niewiele, żeby nie powiedzieć — nie mamy ich wcale i krytyk najczęściej zapisywać musi tylko dobre chęci autorów, zmarnowane w nieudolnem wykonaniu. Nie mówimy tu wcale o wydawnictwach, mających jakieś uboczne cele, jakieś wsteczne lub niesympatyczne pożądania, ale o pracach przedsięwziętych w najlepszej myśli, w uczciwem dążeniu pomimo to jednak bezużytecznych i chybionych.

Do takich właśnie należą *Historya o Michałku Rybie* i kalendarz *Mrówka*.

Pierwsza z nich, to nieudatna próba wplecenia popularno-naukowej pogadanki w historyę życia biednego sieroty wiejskiego, który wyszedł na doktora. Pogadanka sama przez się jest niezłą, chociaż traktuje o zjawiskach dla włościan niezbyt ciekawych, ale całą swą wartość traci przez owo niefortunne połączenie. W tym wypadku winą jest fałszywe zgoła przekonanie, że chłopa koniecznie zachęcać należy do czytania. Każdy, kto ma możność bezpośredniego zetknięcia się z ludem, zauważy wręcz przeciwne objawy; książki ciekawe wyrywane są z rąk do rąk, jeżeli zaś nasze wydawnictwa ludowe nie rozchodzą się w dostatecznej ilości, to przyczyną tego jest brak odpowiedniej kolporteryi i mała ich wartość pod względem treści. Owa historya sama jest nienaturalną. Pomijając już „uczciwego fabrykanta,“ który, zdaje się, po to tylko zabiera do Warszawy wiejskie dzieci, żeby je kierować na doktorów, pomijając owego akademika, śpiącego na gazetach w izbie bez mebli i przemawiającego żargonem uliczników z Powiśla, nieprawdopodobnym jest sam Michałek, który wyszedłszy na doktora i odwiedziwszy rodzinną wioskę, nie ma nic lepszego do roboty, jak objaśnianie znajomym zjawisk fizycznych. Chociaż doktorzy, są to „oświatli ludziska,“ jak z kiepska po chłopsku powiada St. Zalewski w *Pogadance o zdrowiu* (*Mrówka*), trudno jednak przypuścić, żeby nawet widok miejsc rodzinnych i ukochanych ludzi po długoletniej rozłące nie pozwolił młodemu uczniowi Eskulapa zapomnieć o swoim zawodzie.

Wspomnieliśmy o p. St. Zalewskim. Jego pogadanka w *Kalendarzu*, tłomacząca potrzebę zmiany niektórych warunków hygienicznych, byłaby wcale dobrą, gdyby jej nie psuło niezręczne naśladowanie mowy ludowej, wyglądające na umyślną karykaturę i zresztą zupełnie niepotrzebne. Dosyć mówić prosto i jasno a chłop zrozumie, o co chodzi, jak zrozumie i z zadowoleniem przeczyta powiastkę Prusa: *Michałko*, chociaż wcale nie dla ludu specyalnie napisaną. Prawdziwa to perła w tym zbiorze luźnych i lichych rzeczy. Potęgą olbrzymiego talentu Prus rozwiązał zadanie, o którego rozstrzygnięcie kusiło się naprożno tylu ludzi, stworzył rzecz zarówno piękną i zajmującą dla chłopa, jak dla przedstawiciela inteligencyi i dowiódł, że możliwą zupełnie jest jedna, wspólna literatura dla wszystkich klas ludności. Natomiast muza p. Konopnickiej w podobnych usiłowaniach zawieść musiała. Frazeologia, stanowiąca wadę wszystkich prawie jej utworów, w rzeczach przeznaczonych dla ludu występuje jeszcze silniej. Dziwna rzecz — umie poetka łudząco odtwarzać ton pieśni

*) Wk. Ol. *Opowiadania o ciekawych i pożytecznych rzeczach*; ks. St. Mazurek *Kto był Karol hr. Brzostowski*; Tadeusz Niemira *Mrówka*, kalendarz na rok 1884; Bronisław Rysiński *Historya o Michałku Rybie*; Kaz. Promyk *O strasznym zbóju*.

---

2)

ON I ONA.

III.

— Nie mąż, tylko... gazeta.
— Szkoda.
— Co pani właściwie grozi?
— Wstyd.
— Czego? Żeś pani nie mogła domówić całej prawdy?
— Żem powiedziała za wiele.
— Uspokoję panią, bo powiem więcej.
— Na litość — nie.
— Proszę mi nie odbierać głosu, gdyż w takim razie nasza rozmowa byłaby jedynie zwykłym romansem, nie zaś pouczającem doświadczeniem.
— Brak mi odwagi.
— Teraz ona tylko mnie potrzebna. Zresztą nie lękaj się pani: będzie to niewinna sobótka pogańska, w której nie rzucimy się w ogień, lecz przeskoczymy go. Pomogę.
— Pomożesz pan?
— Panią to zdumiewa? Sądziłaś, że padnę na kolana i wyznam swoją miłość a uniewinnię twoją? Bynajmniej. Pani nie jesteś dla mnie ani boginią, ani grzesznicą, lecz wychowaną w kłamstwie a ośmieloną w powodzeniach kobietą, która sądziła, że wypowie bez omyłki cały alfabet prawdy a zająknęła się przy pierwszych jego głoskach. Półsłówka pani wystarczyłyby dla uwodziciela, ażeby cię mniej lub więcej zbałamucił, ale nie dla mnie, ażebym cię podziwiał. Jeżeli zaś moje oczy zdradzają namiętność, to naprzód ja jej rozkazywać umiem, a powtóre może ona być tylko powodem tryumfu dla kobiety, nie zaś—obawy dla żony przyjaciela. Chociaż — jak pani utrzymujesz — usta moje tchną piżmem rozdrażniającem, nie wywołałem nigdy względem was podstępu, a nie lubiłem niewinności.
— Szczególny gust...
— Bardzo uzasadniony. Większość kobiet poświęca się, błądzi, łamie wiarę małżeńską naiwnie, nieświadomie. Dzięki im każdy zakazany owoc jest mdły lub gorzki. Zwykle romans przebiega tak: mężczyzna naciera, kobieta się poddaje, ale po każdym jego ataku wpada w smutek, a po ostatecznem zwycięstwie — w rozpacz. Wyzywa na pojedynek śmiało, ale gdy ją przeciwnik ugodzi, ona ujrzawszy w ciele ranę, podskakuje się i woła: „nie sądziłam, że pistolet będzie nabity kulą.“ Proszę pani, czy warto strzelać się z dzieckiem, które przypuszcza, że w wymierzonej do niego lufie tkwi gałka z chleba? Podobnież, czy warto rozkochiwać kobietę, która mniema, że miłość zaczyna się westchnieniem przy świadkach a kończy westchnieniem bez świadków? Na wszystkich polach naszego życia dusi przepiórki gromada jastrzębi, które tem chętniej rzucają się na zdobycz, im ona mniej jest świadomą niebezpieczeństwa. Są to tolerowani złodzieje kobiecej niewinności, okradający z niej pensyonarki, usamowolnione panny lub żony starych mężów. Ich ofiary giną przez prostą nieświadomość tego, że pocałunek jest żądaniem a nie zaspokojeniem żądania, że mężczyzna rzadko bywa kiperem, kosztującym tylko wina rozmaitych prób, a najczęściej pijakiem, który rozkoszne czary do dna wychyla.
— Jaki to ma związek ze mną?
— Bezpośredni. Serce pani mógłbym łatwo ukraść—nie chcę. Jeżeli widzę, że kobieta, pod wpływem gorętszych słów, mimowoli miękuie, ulega i gotowa do ofiary, po której na twarzy czuć będzie rumieniec a w sumieniu zgryzoty, opuszczam ją. Jest to małoletni, który potrzebując stu rubli, wystawia lichwiarzowi rewers na tysiąc. Istoty, które zdradzają swych mężów w wagonie lub na statku, a potem, żałując za grzechy, są najwierniejszemi żonami, mogą być ponętą dla—kpów. Ja po-

ludu, kiedy jednak próbuje napisać coś wyłącznie dla niego, wpada w przesadę i nienaturalność. Czy np. chłop zrozumie taką zwrotkę z wiersza, poświęconego pamięci Jana III:

Niech hussarya skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błyszczą w ręku...
Luzak z koniem, koń w obłęku!

Inne artykuły nie zasługują na szczególną wzmiankę. Na co komu przyda się opis telegrafu lub fabryk w Łodzi, co skorzysta chłop lub mieszczanin z wiadomości o koloniach letnich dla biednych dzieci, o uprawie sorgo, o drzewie ze słomy, telegrafach podmorskich, przemyśle bawełnianej w Anglii, dostrzegalni podmorskiej w Nizzy itp. — na to pytanie sam chyba nawet wydawca kalendarza odpowiedzieć nie zdoła.

Jeszcze jedna uwaga, którą pomimo obawy posądzenia mnie o antisemityzm, czuję się w obowiązku zrobić. Jaki cel mają dwukrotnie powtórzone w kalendarzu nawoływania do zgody i miłości braterskiej chrześcian z żydami. Piękne słówka faktu nie zmienią, a faktem jest, że w stosunku do chłopa wioskowy lub miasteczkowy żyd handlarz jest *zawsze* niesumiennym i niemiłosiernym wyzyskiwaczem. Inna rzecz, że nie jest to winą jedynie żydów, bo na wytworzenie takiego stanu rzeczy złożyły się okoliczności historyczne, inna rzecz wykazanie, że przy obecnym ustroju społecznym, nawet po usunięciu izraelitów, stan ów nie uległby zmianie — ale autorowie tego nie czynią, lecz gołosłownie tylko tłomaczą potrzebę zgody, w istniejących warunkach zgoła niemożliwej.

Szczupłość miejsca nie pozwala mi na szerszy rozbiór *Opowiadań o ciekawych i pożytecznych rzeczach*, chociaż zasługują na to pod każdym względem. Bezwątpienia najlepsza to książka dla ludu z wydanych ostatnimi czasy. Na dwustu blisko stronicach druku mieszczą się opisy różnych miejscowości kraju, wiadomości historyczne i geograficzne, popularne pogadanki z nauk przyrodniczych i społecznych, powiastki, poezye —słowem cała encyklopedya chłopska. Wykład jasny i przystępny, wolny od zwykłych w takich rzeczach usterek. Szczególna wzmianka należy się artykułowi o serwitutach. Wykazuje on potrzebę ich zamiany, ale zarazem wyraźnie powiada, że sprawa ta powinna być załatwioną bez szkody dla stron obu i podaje sposoby korzystnego dla włościan jej rozwiązania. Zapewne i ta książka ma pewne wady, są i tu rzeczy małoużyteczne (np. niektóre wiadomości z zoologii) albo źle dobrane, stosuje się to zwłaszcza do poezyi. Obok prześlicznego wiersza Konopnickiej: *Na fujarce*, przedrukowano również tylokrotnie już powtarzany i bezmyślnie przez krytykę oklaskiwany utwór jej *Z łąk i pól*, mający nibyto na celu przekonać chłopów, że nie należy niemcom sprzedawać ziemi. Morał tej poezyi uważamy za zupełnie chybiony, bo wiadomo przecie, że właśnie chłopi najsilniej trzymają się ziemi i raczej objawiają tendencyę do zakupywania jej, aniżeli sprzedawania. Pomimo tych drobnych uchybień książeczkę witamy szczerze, jako pierwszy krok na drodze lepszego pojmowania rzeczy i gorąco polecamy ją naszym czytelnikom.

Polecamy im również dziełko ks. Mazurka, traktujące o tem, kto był i co zrobił Karol hr. Brzostowski, nietyle dla ważności opisu działań zacnego filantropa, ile dla jej zalet wewnętrznych, dla tych myśli, które nawiasem wypowiada, dla prostego, wybornego wykładu. Instytucya sztabińska zeszła z drogi wykreślonej jej przez założyciela i smutny koniec jego szlachetnych usiłowań widzieliśmy niedawno w sprawie toczącej się przed kratkami Izby sądowej warszawskiej, ale uwiecznienie w pamięci ludu imion szczerych jego przyjaciół zawsze będzie na czasie. Zasługą księdza Mazurka jest, że ocenił trzeźwo i sprawiedliwie działalność w tym duchu, że ze słów jego widnieje szczera miłość ludu, wolna od interesownych zachcianek.

Książeczka Promyka: *O strasznym zbóju* jest odbitką z *Gazety Świątecznej*. Zwykłe to opowiadanie, bezpretensyonalne i nadające się do czytania dla rozrywki. Tendencyą jej dość oklepana, zresztą szczególnych jakichś celów zapewne autor sobie nie zakładał, a w tym szczupłym zakresie zabawienia i pouczenia zarazem czytelnika pożytek przynieść może.

J. L. P.

Z ŻYCIA Z. KRASIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

Wędrując bez celu pędzony z miejsca na miejsce, kiedy mu się zawarła brama życia „przed nosem,“ gryzł się i martwił, że żył nicością, bo chciałby „nie być zupełnie niczem.“ „Im więcej dni przerywam — pisze dnia 26 marca 1835 — tem mi smutniej się robi, tem wszystko bardziej pośmiewiskiem mi się wydaje. Co napotkałem szlachetnych i dzielnych, to byli zawsze w opuszczeniu, w braku nadziei i wszelkich słodyczy. Widziałem dużo błaznów szczęśliwych, dużo łajdaków potężnych i przekonałem się, że ten tylko może na tej ziemi spokojne mieć serce, kto taki podły, że przestaje na złem, lub taki głupi i niedołężny, że złego nie czuje.“ W życiu widział najczęściej błazeństwa i kiedy niekiedy zbrodnie a najrzadziej cnoty i piękno. Nie doznał nigdy uczuć młodości. „Żebym kiedy pisał odę do młodości mojej, tobym ją zaczął: O ty, *stara babo* na miotle..!“ Wszystko naokoło niego starzeje się, błaźni, psuje. Powrót do ojczyzny uważał za „pogrążenie się w zupełne ciemności, do piekieł zstąpienie.“ Łatwo pojąć, dlaczego... Na tej granicy, na której jego ojcowie chwytali radośnie rodzinne powietrze w piersi, na klęczkach dziękowali Bogu, że im pozwolił wrócić z dalekich wędrówek, on musiał się żegnać z najdroższemi uczuciami i osobami, przeklinać swoje gniazdo. Dla niego domem cudze ziemie, a własna stokroć gorsza. niż obca, daleka... Upodlenie rodaków, ich przekupstwa i płaszczenia się łzy mu wyciskają, a ponieważ zaś żydzi, niemcy i bankierzy potężniejsi w znaczenie, wpływy i potęgę od magnatów polskich, więc wpada w rozpacz i zwątpienie. Cały świat wydaje mu się tylko „marną farsą, której chyba koniec jest początkiem czegoś szlachetnego i lepszego lub przynajmniej ciszą.“ Ciągle go obejmowały jakieś czarne przeczucia, co chwila drżał o życie kochanych; o teraźniejszości zwątpił, a w niedalekiej przyszłości widział tylko groby. Nie wierzył w sprawiedliwość i równowagę na tym świecie, bo robak sceptycyzmu toczył jego duszę! W takim stanie chciał już przegryźć nitkę nieszczęśliwego żywota. Starożytni stoicy wydawali mu się wówczas ideałem. Po odbytej biesiadzie kładli się do łoża, a nazajutrz rano niewolnicy zastawali ich ze sztyletem po rękojeść w serce wbitym...

Choroba i zewnętrzne okoliczności tak go nękają, że z upragnieniem oczekuje „snu wiecznego.“ „Od dwóch miesięcy codzień Boga gorąco o śmierć błagam. Codzień napada mię pokusa w łeb sobie strzelić—piekło, piekło w duszy!“ Jak Faust

---

kochałbym i poprowadził w miłości jak najdalej taką kobietę, którąby jasno wiedziała dokąd idzie i na przebytą drogę nie oglądała się z żalem. A właśnie pani do takich nie należysz.

— Natura już mnie dawno stworzyła a pan chcesz stworzyć inaczej po raz drugi.

— Pani za mało przypatrywałaś się sobie bez lustra, a kiedy ciebie zajmował kawałek marchwii na mojej brodzie, ja natomiast śledziłem twoje słowa, uśmiechy i przemiany. Na tej samej wycieczce, która mnie naraziła, pani pozwoliłaś się okadzać swemu kuzynowi. Młodzieniec ten tak kłamał, jak dworak. Mówił np., że przypominasz mu pani Żmichowską, chociaż w usposobieniu twojem jest tyle poezyi, ile w napisanym do albumu siostry wierszyku, który wywołał to porównanie. Byłaś mu pani wdzięczną, gdyż wycałowałaś... męża, który podczas tej chwalby nadszedł. Wtedy przekonałem się, jaką masę ocukrzonych i pachnących bredni rozumna kobieta zjeść może i jak tanio je nabywać pragnie. Zdawałoby się, że po przyjęciu wszystkich pochlebstw i umizgów owego młodziana, wypłacenie mu lask uczynisz pani zależnem tylko od dogodnej sposobności. Tymczasem, kiedy on prosił wieczorem na ganku, ażebyś pani pozostała z nim dłużej, odpowiedziałaś mu: od czasu jak przysięgłam mężowi wierność przed księdzem, nie myślę nikomu ślubować miłości przed księżycem.

— Pan to słyszałeś?

— Z balkonu. Zawiedziony kuzynek wrócił do pokoju, w którym razem mieliśmy nocować, i rzekł w zachwycie: „Boska kobieta!“ „Przeciwnie, ludzka — odrzekłem — bo miłosne sieci robi nie z mocno wiązanych oczek, ale z szydełkowych zadzierzgnień, które każdej chwili za pociągnięciem nitki rozpruć można.“ Zamyślił się, ale pewnie zapomniał o tej uwadze, bo dowód nie utkwi w miękkim mózgu, jak gwóźdź w najtwardszej wodzie.

— Cóż ja według pana miałam robić?

— Powiedzieć mu wprost albo: Chcesz pan mnie podnieść do nieba, ażebym upadłszy z wysoka, straciła równowagę na ziemi? Jest to dosyć dla pańskiej naiwności, ale za mało dla mojej rozwagi; albo: Kocham cię bez złudzeń i bez wstydu.

— Kiedyż ja jego nie kochałam!

— Ani jego, ani artysty, przy którego skrzypcach omdlewałaś pani z upojenia, ani po nim literata, który pod twoje stopy podściełał wzorzyste kobierce tkane z wyrażeń Słowackiego i Musseta, ani innych wielbicieli, ani mnie. Wszyscy wprawiali panią w miły pół-sen, co to rozmarzonej wyobraźni na wszystko pozwala i za nic nie karze. Świat żąda od kobiety rachunku tylko z ciała, duszę pozostawia wolną: na pierwszej uwłaszcza męża, na drugiej zapewnia służebności znajomym. Nieraz serce wasze to wspólny pastewnik, na którym i myśliwy coś upoluje i wół trawy uskubie.

— Moje także?

— Zbladłaś pani z oburzenia na samą myśl, że tak sądzę? Nie, tego nie utrzymuję, chociaż cieszy mnie chmura na twarzy kobiety, niedawno przekonanej, że przed najsilniejszym promieniem światła nie zmrużyłaby oczu. Wiesz pani, dlaczego śmiało wyzywałaś z moich ust prawdę o sobie? Bo spodziewałaś się, że ofiaruję bojaźliwie uwity bukiecik pochlebstw, za co otrzymam czarujący uśmiech. Szłaś pani dotąd szpalerem wielbicieli, którzy wydawali zgodne odgłosy podziwu, i gniewasz się, że ostatni w tym szeregu rozdarł ci kolcami tryumfalną szatę. Przewidywałem ten wypadek. Dopóki kobieta nosi jeden przyprawiony warkocz na głowie, dopóki fałszuje zarówno swoje myśli mową, jak kształty swego ciała ubraniem, nie może lubić, nawet znosić prawdy. Niezbyt zaś chyba do tego zdolna jest młoda i piękna żona starego i niedołężnego człowieka, która pewnie muiej ocalenie zawdzięcza sile swojej cnoty, niż słabości dokonanych na nią zamachów.

zwątpił nawet o nauce i mądrości ludzkiej. „Salvanus—powiada o swoim lekarzu—robi się wielkim filozofem, otoczony tablicami, kredą, machinami elektrycznemi; jeśli nie zgłupieje, wyjdzie na mędrca, to jest po wielu nocach mozolnej pracy nauczy się, że nic nie umie i nie wie. Jednak zawsze szlachetniej popsuć sobie żołądek przez nauki, niż przez trufle. Cokolwiek człek robi—to jego zniszczeniem.“ Cały świat wewnętrzny poety doznawał jednego losu z tem, co zewnątrz z nim się działo. Straciwszy świeżość wyobraźni, „gnił pod ręką konieczności,“ a „ołowiane nudy“ kamieniem w sercu mu zaciążyły. W tej rozpaczy gorąco pragnął i wzywał pociechy. Zrazu stateczną myślą w głębi ducha przeczył widomej potędze, pozbawiony nadziei walczył przeciw pokusom wielu i radom własnego rozsądku, burzom własnej rozpaczy i słabościom znużenia. Z każdym dniem ciaśniej mu było, każdej nocy nieznośniej i samotniej, aż cały świat sobie zmierził i „czekał jak zbawienia śmierci podłej na łożu—śród nieznanych i obcych.“ Choremu na ciele i duszy dwoił się świat materyalny przed słabemi oczyma, a moralny pękał, łamał się w dziesięcioro, w sercu i umyśle. W duszy jego jakby nie było żadnej gałązki zielonej, żadnej oazy na puszczy zwątpienia.

Na widnokręgu życia biednego poety gromadziły się ciężkie, czarne chmury. Było ono coraz smutniejszem i posępniejszem. Coraz bardziej zatłaczał się sam w sobie. Zrazu ten świat wewnętrzny wytrzymywał „wszystkie próby i napaści, wszystkie obrazy i skaleczenia.“ które już się stały żywiołem, nieodzowną koniecznością jego moralnego bytu. Później nie zdołał już tego własnego świata ustroić i „uharmonizować,“ wpadł w nudę, spleen, a potem w zwątpienie i niewiarę. Coś boleśnie sceptycznego ogarnęło jego umysł, zaufanie w własne siły opadło, tak „jak ranna rosa znika przed słońcem południa“ i skwar południowej godziny życia palił jego wnętrze: „sucho, sucho okropnie!..“ Póty stało w nim wiary, póki miał towarzysza. Gdy ta osłabła, ścisnęła go samotność, niewiara żelaznymi kleszczami.

Zwątpienie, jeśli słabych gubi i niszczy, silnym bywa nauką, szkołą życia, jest jakby stanem pośrednim. który przeprowadza ich do spokoju i równowagi. Gdyby nie chorobliwy stan fizyczny Krasińskiego i nieszczęśliwe warunki, w których żył, mógłby był rozwinąć zarody tego przejściowego sceptycyzmu i uszczknąć na nim kwiat szczęścia — owoc rozumu. Ale on nigdy nie dojrzał do tego stanu klasycznej równowagi umysłowej i był w wiecznem rozprężeniu—rozdarciu, szponami, wiecznie odrastającymi wewnątrz. Choroba duszy ssała go na podobieństwo raka, aż stał się uosobionem cierpieniem i tęsknotą. Miał dziwnie przenikliwy wzrok na wszystko, co czarne i smutne. Zrazu snuły się tam jeszcze tęcze nadziei, jak „babskie lato“ w jesieni, potem i te zwodnicze prysły—zapanowała dżdżysta jesień. Później i deszczu już nie znajdziesz nigdzie, choćbyś krople jego rad z chustki wycisnąć i niemi usta zwilżyć. Wszędzie „pogoda szara, sucha—pod nogami piasek, mgła nad głową, we mgle utoniesz na wieki...“

Zakazana i nienasycona miłość do Delfiny Potockiej wprawia go w stan chaotyczny. Ogarnia go niepokój, męka, szał. „Jestem w stanie gorączkowym, doraźnym, gwałtownym.“ Chciałby trapiące go myśli i uczucia utopić w morzu lub rozwiać wiatrami gór. Po chwilach szczęścia, w których się czuje pełen młodości, następuje okropna starość duszy i bezdenna próżnia. Nie umie już kochać bez refleksyi i „szelmowskiej analizy.“ Dawniej, gdy się dotykał miłości, końce jego palców gorzały ogniem; dziś także się dotyka i silnie, ale czuje już dotknięcia palców. Po złudzeniach miłosnych trapi go zgryzota i „bojaźń przyszłości;“ wyrzuca sobie, że tak marnie dotąd żył... Szereg dwudziestu siedmiu lat staje przed nim jak szkielet suchy, nagi, bez muskułów. Zeszedł wiele rozmaitych dróg żywota, ale żadnej nie znalazł bez ciernia i gruzu; gdziekolwiek poszedł, stał jakiś czarny anioł, który go pięścią odepchnął. Nigdy nie czuł się zadowolonym i szczęśliwym. Kiedy żył jak święci, tęsknił za rozkoszami tej ziemi, kiedy się dotknął ziemi, wzdychał do czystości świętych, kiedy wiele czuł i cierpiał, zdawało mu się, że błogi spokój szerokiego rozumu jest dobrem jedynem, kiedy się uczył i myślał głęboko, żałował, że nie doznaje gwałtownych namiętności. Słowem, wszędzie i zawsze czegoś żałował, za czemś wzdychał i nic serca jego *zapełnić* nie mogło. Żądza i cierpienia były kamieniem węgielnym jego życia, treścią jego duszy. Tylko kiedy niekiedy występują na tem tle całunowem boskie arabeski, iskry, błyski szczęścia.

Około r. 1840 wstępuje poeta w nową fazę życia. „Niegdyś—pisze po swych wybuchach w Karlsbadzie i w Sorrento—niegdyś natura ogromny wpływ pięknością swoją wywierała na mnie; teraz zobojętniałem zupełnie pod tym względem. Stetryczałem Adamie ogromnie, posunąłem się w dojrzałości dyablo. Co mnie wzruszało niegdyś, nie wzrusza mnie już dzisiaj, coraz mniej wrażenia zmysłowe potęgi na mnie mają, coraz mi duchowniejszych potrzeba, ludzkich, zawierających w sobie całą pełnię natury ludzkiej.“ Dawniej koił się w godzinie smutków kwiatkiem, księżycem; teraz gdzie niema bijącego serca lub pojmującego umysłu, tam dla niego pusto, głucho—ocean nicości. I dlatego to, mówi, że *zduchowniał* a *odzmysłowił się*. Dobiegał już trzeciego krzyżyka—był w połowie mety; obejrzał się w tył i widział tylko „sen“ za sobą. To oglądanie się po za siebie, to przeświadczenie, że czas bez litości bieży i bieży, a człowiek ciągle się zmienia, zatruwa mu myśli i uczucia. Analizuje życie całe na atomy i łamie je na rozdziały—rozdział materyalny z danym miejscem i bytem, rozdział duchowy z danemi uczuciami i myślami, „Wszędzie, w każdem miejscu i o każdej dobie oddzierasz się od czegoś, temu „coś“ cząstkę siebie zostawiasz, a to coś zabierając ją, gdzieś przepada w nieskończoność. Tak rozpraszając się coraz dalej, garniesz się ku wielkiemu, ostatecznemu rozproszeniu... Co za sen lekki, a tak okrutnie rzeczywisty!“

W chwili takiego rozmyślania „czuł w mózgu zimne palce, jakby z lodu;“ poznał palec, „który pisał słowa zguby na ścianach starożytnego pałacu;“ czuł rękę tę zniszczenia, która wisi nad przyrodą i zaciąża na indywiduach, a czasem na ludach całych. Opętał go „szatan melancholii,“ „rugując z rzędu ludzi do trzody kretynów.“ Wiele trosk i cierpień przyłożyło się do wprowadzenia go w ten stan „głupoty i nicości,“ w którym duch jego „zmarniał i zniszczał.“ Walczył, męczył się, póki sił stało; wreszcie siły go opuściły, wyglądał jak umysłowy szkielet, porzucony w przestrzeni ducha. Stan ten okropny, spotęgowany świadomością, przesadzany chorobliwą fantazyą, był naturalnym wynikiem temperamentu i sposobu życia. Odkąd Krasiński przestał być młodym, ciągle był w nienaturalnym stanie podwyższonej drażliwości. „Żyłem jak galwanizowane trupy.“ Zarody śmierci dobrze mu znane i prawie dotykalne, ukrywał

— Dosyć, panie, to już zniewaga!

— Więc pani przypuszczasz, że przed chwilą powstrzymała cię od niebezpiecznego rzutu twoja, nie moja wytrwałość? Po cóż pragnęłaś nadejścia męża? Ja okazałem bardzo dużo mocy, bo oparłem się nietylko pokusie pani, ale nadto własnemu, bardzo gwałtownemu pragnieniu.

— Temperatura pańskich pragnień wielkiego studzenia nie potrzebuje.

— Mylisz się pani. Gdy na ciebie patrzę, po nerwach moich przebiega nieustanny dreszcz.

— Odrazy?

— Namiętności.

— Pomimo to, coś pan przeciwko mnie powiedział?

— Alboż pani moje śmieszne pląsy w potyczce z psem i pszczołami przeszkadzały pochylić się ku mnie? Zresztą, nie twierdziłem wcale, ażebyś nie była zdolną do odurzenia zmysłów...

— Na to są specyaliści, z któremi ja moralnie nie mam nic wspólnego, prócz pańskiej opinii.

— Rozumiem ten, jak wszystkie poprzednie wybuchy, bo kto prawdę mówi, przeciąga przez uszy słuchaczów oset. Nie unoś się pani, ja tak ubliżającego porównania nie robię, lecz sądzę, że mężczyzna kocha kobietę tylko zmysłami.

— Każdy i każdą?

— Bez wyjątku. Nie przeczę, że może on cenić jej rozum. szlachetność i inne przymioty, ale będzie to cześć człowieka dla człowieka, a nie miłość mężczyzny dla kobiety. Bo czy pani wyobrażasz sobie to uczucie w mężu, przekonanym, że jego mądra i zacna żona jest potwornie brzydką? Byłoby to równie niemożliwem, jak zachwycanie się szpetną ruderą dlatego, że ona w sobie mieści bogatą bibliotekę lub galeryę obrazów.

— Czemuż jednak kobiety wykształcone i uczciwe bardziej są kochane?

— Dla nader prostej przyczyny, że najświetniej zbudowany gmach więcej wart z biblioteką lub galeryą, niż bez nich. Wartość architektoniczna, o którą w kobiecie przedewszystkiem chodzi, pozostaje od tych przydatków niezależną.

— I we mnie ona panu się podoba?

— Tak. Nikt z brzoskwini nie wydziela i nie chwali osobno rozpuszczonego w niej cukru lub woni, lecz rozkoszuje się nią całą. Również i z natury pani nie wyróżniam żadnego, nawet najeterycznejszego pierwiastku, lecz podziwiam wszystkie razem — zmysłami.

— Ach, ciągle tylko zmysłami...

— Po co mam się tego zapierać? Przecież nie wyprosiłem sobie u natury odrębnych popędów; mam takie, jakie mi dała, jakie dała wogóle mężczyznom. Wzorem wielu mógłbym powiedzieć, że pani przejmujesz mnie szacunkiem dla twego rozumu, taktu, dowcipu i tak dalej, ale to byłoby kłamstwem. Czy pani pamiętasz, kiedy odkryto Amerykę, czy wspierasz biednych i znasz Miltona, nie wiem, ale wiem, że twoje oczy parzą, nos rozdyma się niepokojem, usta wabią, cała postać wyraża wdzięk a obiecuje rozkosz. Trzeba nie posiadać wrażliwych nerwów, ażeby...

— Dlaczegoż mnie pan nie kochasz, bodaj po swojemu?

— Kocham — po swojemu.

— I nie żądasz pan odemnie żadnej ofiary?

— Żadnej, bo każdą spełniłabyś pani nieświadomie i opłakała boleśnie.

— Nie chcę o tem więcej słyszeć, że mnie pan uważasz za dziecko!

— No, a jakże byś pani poradziła sobie z obowiązkiem żony?

(D. n.).

przed ludźmi maską żywości, której elektryczne nurty w końcu się przebrały i zatopiły wątłą i schorzałą osóbkę. Droga mu się wikłała i gmatwała coraz bardziej pod nogami; rozdwojony i z sobą w niezgodzie, przy poczuciu tego, a czasem nawet do tego rozdwojenia dążący, „by jak najrychlej to tragiczne fatum zakończyć...“ Przymusowe, z ofiary dla ojca zawiązane i krępujące go węzły małżeńskie z Elżbietą Branicką pogorszyły tylko stan chorej duszy. Małżeństwo to uważał za moralne zabójstwo. Złowrogie przeczucia trapiły go jak zmora, a przyszłość pożycia z obojętną dlań osobą pokazywała mu wcześnie swoje „dzikie lice.“ Wróblom i kanarkom dobrze w klatce. gdzie dużo nasypano lnianego nasienia lub maczku—namiętna dusza poety pragnęła innego pokarmu... Ostatni cios zadała mu śmierć Konstantego Danielewicza, przyjaciela młodości, towarzysza podróży i cierpień, „anioła stróża“ poety. Odtąd zdrowie go do reszty opuściło i „duch“ zupełnie upadł; zrywał się jeszcze na chwilę, zajaśniał jak błyskawica, chyba żeby pokazać czarną noc „nieskończonej melancholii,“ w której leżał nieszczęśliwy... „Od śmierci Konstantego—pisze do Sołtana — jakiś urok padł na mnie; nic mi się nie wiedzie, dzień każdy jednym stopniem niżej w przepaść jakąś zwątpienia i rozpaczy.“ „Od dnia tego, Adamie, ni razu słońce już nad moją duszą nie weszło, ciału świeciło.“

Rzeź lutowa wstrząsnęła gwałtownie po raz ostatni jego organizmem duchowym. „Oh! mój Adamie. Jakżeż mi smętno, chorobno, nieznośnie od tego lutego (1846). Odtąd nigdy szerzej pisać do ciebie niemogłem. Melancholia bez nazwy odjęła mi była wszystkie prawie władze umysłowe, jak waryat, jak kretyn się czułem. Znienawidziłem powoli świat i wszystko, zakopywałem się duchem w grób, kędy się jeszcze me ciało nie było dostało. Nie wyobrazisz sobie Adamie, jaka mnie rozpacz pożera! Już życia za grosz w piersi niema. Świat obrzydł i wszystko obrzydło...“ I było mu na tym „planecie brudnym“ coraz smutniej i smutniej. Bo też w całem życiu ciągle pragnął a nie był zaspokojony, żądał a nie mógł, wyglądał a nie otrzymał. Więc zapadło się jego wielkie serce, jak wicko od trumny pęknięte, wtłoczone... A wokoło niego był „spokój grobowy, fermentacya zgnilizny i robaki zwane: zawiść, wściekłość, podłość.“

A zatem nie znał pociechy w religii ten, który głosił jej chwałę w psalmach dawidowych? Jakżeż mógł wierząc zwątpić i rozpaczać? Czyżby naprawdę brak mu było zupełnie „cnoty największej śród chrześciańskich cnót—*rezygnacyi?*“

To pytanie rozwiąże analiza jego uczuć i wyobrażeń religijnych.

H. B.

KALEJDOSKOP ARTYSTYCZNY.

Prawdziwa boleść w sztuce — to dopiero boleść króla lub nałożnicy królewskiej. Prawdziwy dramat — to śmierć cezara. Prawdziwa wesołość — to taniec greków. Prawdziwa poezya — to ucieczka do Egiptu w noc księżycową. Prawdziwe życie — to uczta za Nerona. Prawdziwe uczucie — to jedynie miłość Romea i Julii. Prawdziwa prostota — to świstanie na tybii, ale tylko w okolicach Aten. Prawdziwa szlachetność rysunku — to sztywność pozy klasyczno akademickiej. Prawdziwa malowniczość — to pstrocizna barw średniowiecznego ubrania. Prawdziwa kompozycya — to symetrya teatralna figur i linij. Prawdziwa idea w sztuce — to alegorya wyrażona zapomocą kanonów. Prawdziwa nauka — to przedstawienie jakiegoś wypadku historycznego za pomocą kilku szczegółów archeologicznych i kilku kostiumów pożyczonych do skopiowania z garderoby teatralnej. Prawdziwy styl — to wynagradzana przez akademie powszedniość kompozycyi, bezbarwność koloru i ogólnikowość rysunku. Prawdziwy artyzm — wszystko to razem z dowcipem w zatytułowaniu. Kto tego nie robi, ten na uznanie przyszłego dopiero pokolenia liczyć może, gdyż nasze tem tylko interesuje się w sztuce, co go w życiu ani ziębi, ani parzy.

Pisać powieść na tle współczesnych obyczajów, snuć dramat psychologiczny z uczuć ludzi żywych, malować charakter kraju lub miasta swojego, stawiać w obrazie figury prawdziwe, rzucać publiczności pod nogi całe morza dokumentów autentycznych i szczegółów jej nieznanych, starać się olśnić ją i przekonać formą osobistą, własną, niepożyczaną od nikogo, nieużytą nigdzie — wszystko to błahostki niewarte uwagi człowieka, lubiącego tylko *poważną sztukę*, to jest sztukę, mającą za pomocą formułumówionych wyrażać myśli polityczne, socyologiczne, filozoficzne, etyczne i bodaj czy nie ekonomiczne, nie robiąc aluzyj do ostatnich społeczno-estetycznych fejletonów p. Bolesława Prusa, jakkolwiek jego niechęć do marnowania pieniędzy na budowę teatru, na założenie muzeum, na zakup arcydzieł do tego by upoważniała. Tak więc, jeżeli powieść, dramat, obraz czy rzeźba, w tytule nie robi konkurencyi podręcznikom historyi, archeologii, filozofii, etyki i kto wie, czy nawet nie dydaktyki, to z góry można być pewnym, że taki utwór nie obudzi u nas żadnego interesu, chociażby był arcydziełem artyzmu, gdyż my lubimy tylko sztukę, która bez właściwych do tego środków chce umoralniać, sztukę, któraby mogła zastępować kodeks, ambonę i katedrę nauczycielską razem. A ta opinia o konieczności tendencyi w niej jest tak ogólną, że kiedy w pewnem kółku ktoś chwalił najnowszy obraz Gierymskiego: *Przystań statków na Solcu*, to jakaś poważna znawczyni przerwała mu uwagą: „Co mi to za obraz! Żeby chociaż był namalował Stanisława Augusta, jak kładzie kamień węgielny pod budowę bulwaru, kiedy już zachciało mu się koniecznie malować Solec.“ Bez króla, choćby tylko w roli komparsa, niema obrazu, ponieważ tam niema jakiejś *wyższej i podniosłej idei.*

Co prawda, tytuł ostatniego autora p. Gierymskiego (Wystawa Tow. Zach.) nie daje nic a nic do myślenia. *Przystań statków na Solcu!*... Ależ to temat, mogący zaciekawić najwyżej orylów! Tymczasem idei tam co nie miara, i to wyrażonych konkretnie, plastycznie, po malarsku.

Naprzód idea przedstawienia życia rzeczywistego na tle natury rzeczywistej: dom z końca XVIII-go w. na Solcu, żydzi w kostiumach właściwych epoce, ze swoim charakterem wschodnim, rozsiani po całym bulwarze. na górze, na dole: ten oparty bezczynnie o baryerę, tamten zamyślony poważnie na szczycie kup drzewa, lub na tratwie, gdzie dwóch flisaków odpoczywa po znojach pracy; dalej furman z wozem i parą gniadych koni do wyciągania belek z wody, piaskarz i cała ludność małomiasteczkowa Solca, żyjąca z tej rzeki, zawalonej statkami, tratwami, berlinkami i czółnami, zabrudzonej błotem całej Warszawy, wstrętnej u podnóża bulwaru, wspaniałej w dali, gdzie się w niej posępny, ciemny granat chmury kąpie, groźnej jak to niebo nad widnokręgiem, zwiastujące burzę.

Potem idea malowniczości: okazanie stosunku kolorów miejscowych, przy ogólnem oświetleniu słońca, wyzierającego z poza chmury, jeżeli się jest kolorystą naprawdę, to jest jeżeli dla wydostania harmonii barw z obrazu używa się wszelkich możliwych kombinacyj farb i to kładzie się na płótno z myślą, że natura nie jest ani na biało, ani na czerwono, ani na żółto, ani na zielono, i że żadnymi kolorami stałymi, nawet przez wszystkie razem akademie za właściwe uznanymi, namalować się nie da. Stąd w obrazie ta rozmaitość farb przegryzających się jedna po przez drugą, stąd to bogactwo plam kolorowych, tak modyfikujących się nawzajem, ażeby mogły stworzyć ton możliwie najbarwniejszy i możliwie najbardziej harmonijny. W każdym innym obrazie taki gorący, czerwono-wiśniowy kolor, jak go widzimy na połyskującym się gniadym koniu w słońcu, wyrywałby się z płótna; taki zaś zimny, sino-niebieski, jaki jest we wszystkich cieniach, uciekałby w głąb. U Gierymskiego tymczasem wszystko się trzyma razem, wszystko leży na swojem miejscu, ponieważ wszędzie, w najdrobniejszych nawet szczegółach, zachowany jest ściśle stosunek barw gorących do zimnych i wszędzie uwzględnione stopniowanie natężenia kolorów, tak, aby żaden gorący nie był silniejszy od światła, padającego wprost od słońca, jak tu np. na ścianę domu, i aby żaden zimny, choćby w najgłębszych cieniach, nie był silniejszy od koloru nieba, które, jak tu, w ciężkiej niebieskiej chmurze np., musi z całego obrazu przedstawiać się najbardziej kolorowo, ponieważ tak jest w naturze. Swoją drogą, niezależnie od ścisłej logiki, a właściwie może z powodu tej logiki, która każe malować niebo silniej w kolorze, aniżeli cienie, choćby najbardziej nawet niebieskie, kolor nieba w obrazie p. Gierymskiego razi. Za dużo w nim logiki a za mało lekkości, któraby mu pozwoliła utrzymać się nad powietrzem, i to jest jedyny zarzut, jaki można o barwach tego obrazu powiedzieć.

Następnie idea bryłowatości: pokazanie jak należy kłaść farby na płótnie, ażeby figury były wypukłe, drzewo okrągłe, ściany domu płaskie, ażeby przedmioty wychodziły plastycznie i oddalały się, ażeby pomiędzy ziemią a niebem było powietrze. Wszakże po za każdą z figur w utworze p. Gierymskiego można założyć rękę, tyle tam przestrzeni, a położywszy nos na płótnie, jeszcze się nie jest tuż przy ścianie domu, który stoi na bulwarze, tak go perspektywa powietrza oddala od widza. A przytem każdy szczegół modelowany od strony światła i od strony cienia, tu gorącemi farbami a tam zimnemi, i każdy wymotywowany w kolorze, bądź to refleksem od słońca, które miejscami tylko oświeca scenę, bądź też barwnością cieniu, który chmura na obraz rzuca, jak to widzieć można w gwałtownej różnicy pomiędzy gorącą białością koszuli na chłopcu, stojącym w pełnem świetle, a zimną, fioletową, niebieską białością koszuli na orylu, siedzącym na trawie w cieniu.

Dalej idea dekoracyjności: pokazanie jak należy, zachowując prawdę koloru i logikę tonu, malować szeroko, bez nędznej, materyalnej drobiazgowości w szczegółach, tak jednak, ażeby, patrząc z daleka, widzieć było można w orylu grubego chłopa, a w spokojnie stojącym żydzie istotny wyraz Wschodu, niezatarty wiekami innego klimatu, innego pożywienia, innych warunków życia, innej cywilizacyi. Wszyscy ludzie w obrazie mają typ, typ wyraźny, zdecydowany, a jednak bez żadnej przesady w szczegółach, w jakimś dziwacznie przekręconym nosie, w jakichś obrzydliwie wywiniętych wargach, w jakichś dziko świecących oczach, gdyż p. Gierymski, jak powiedziałem wyżej, materyalnych szczegółów nie maluje drobiazgowo, zadawalając się położeniem prostej kolorowej plamki tam, gdzie ludzie mają nos, wargi lub oczy, co mu najzupełniej wystarcza.

Lecz temu wyliczaniu idej możnaby nigdy nie położyć kresu, tyle ich tam jest na wierzchu, tuż przed oczami widza, który potrzebuje tylko patrzeć i sądzić. Na zakończenie jednak dodajemy, że obraz,

poza niesłychaną kolorowością, robi wogóle wrażenie sztuki wypracowanej, ciężkiej, wskutek czego na myśl przychodzi przyrównanie dzieła p. Gierymskiego do utworów powieściopisarzy naturalistycznych, których, oddawszy im wszystkie należne pochwały, o lekkość pomówić nie można. Lecz kiedy stawiamy sobie za zadanie: zbudować dzieło z jak największej liczby szczegółów, wiernie zaobserwowanych z natury i ściśle wymotywowanych, to czy kto jest Balzakiem, Flaubertem, Goncourtem, Zolą, czy też p. Gierymskim — owej lekkości i łatwości w wykonaniu, sąsiadującej o miedzę tylko co prawda z powierzchownością, mieć się nie może ani w naturze umysłu, ani w naturze talentu.

Inaczej rzecz się ma z artystami, którzy chcą odtworzyć jedno tylko wrażenie odebrane od całego świata, i nie uważając na prawdę szczegółów, wydostać efekt ogólny z obrazu. Tu ani głębokości w pojmowaniu sztuki, ani ścisłości w obserwowaniu natury, ani wierności w oddaniu wrażeń doszukiwać się nie należy. Efekt ogółu jest dla nich wszystkiem: początkiem i końcem twórczości, logiką i normą wykonania. A ponieważ prace ich są łatwiejsze do zrozumienia, nic dziwnego zatem, że oni jedni tylko posiadają sztukę... podobania się publiczności, i oni tylko się podobają. Po zatem jednak, ani za błąd, ani za wadę liczyć im tego nie można, jeżeli w wydostaniu efektu są prawdziwymi artystami, a do żadnych innych tytułów pretensyi nie mają. I tak, gdybyśmy chcieli ostatni utwór p. Wyczółkowskiego, mierzyć skalą wiedzy p. Gierymskiego, to z jego *Obrazka jakich wiele*, nie wiele by się zostało. Lecz po cóż go prześladować za rysunek pobieżny, za komponowanie figur niejasne, za niewytrzymanie oświetlenia, za powierzchowność modelowania, kiedy on chciał tylko namalować szeroko, od jednego zamachu, artystę i jego siostrę, przyjaciółkę, czy też kochankę, zapatrzonych w obraz stojący na stalugach w pracowni, a właściwiej jeszcze, niebieską kurtkę mężczyzny i pąsowy stanik kobiety, siedzących na sofie pokrytej zielonawo-żółtym utrechtem, a widzianych z góry. I przyznać trzeba, że to, co chciał, udało mu się wybornie. Kompozycya oryginalna, chociaż bez pretensyi, rysunek zręczny, malowanie pewne, poczucie koloru subtelne, a całość tak świetna, tak harmonijna, pomimo zestawienia kolorów żywych, tak smaczna, że na *Obrazek jakich wiele*, patrzymy z tą przyjemnością, z jaką w właściwej chwili słuchalibyśmy i oklaskiwali z zapałem niekłamanym p. Grünfelda, grającego na fortepianie z czarującym wdziękiem polkę Delibesa, tak dalece p. Wyczółkowski jest wirtuozem pędzla. Kiedy jednak pan Grünfeld, po za całem swojem wirtuozowstwem, po za całą techniką, która by sama do wprowadzenia słuchaczów w zachwyt wystarczyła, jest artystą głębokim, inaczej przystępującym do sonaty Beethovena, niż do polki Delibesa, to pan Wyczółkowski, jak na teraz przynajmniej, do dwóch obrazów, różnorodnych pomysłem, przybrał się z jednakowym nastrojem ducha. Jego *Chrystus w grobie* (salon p. Krywulta), owinięty w jakąś białą gazę czy muślin, pokryty sińcami od głowy, słabo modelowanej, aż do nóg za krótkich, z ciałem, ni to trupa ni to człowieka żywego, jest tak samo oryginalnie skomponowanym, tak samo zręcznie narysowanym, tak samo śmiało, pewno, smacznie i powierzchownie namalowanym, jak *Obrazek jakich wiele*, co każe przypuszczać, że gdyby pan Wyczółkowski z wirtuoza-malarza przemienił się nagle w wirtuoza-fortepianistę, to sonatę Beethovena grałby tak, jak polkę Delibesa.

Antoni Sygietyński.

Cztery kazania.

I rzekł Pan: oto lud jeden i język jeden tych wszystkich, a toż jest zaczęcie dzieła ich, a teraz nie zabroni im nikt wszystkiego, co zamyślili uczynić. Przetóż zstąpmy a pomieszajmy tam język ich, aby jeden drugiego języka nie rozumiał.

Genesis IX.

Gdyby kto chciał podanie biblijne o karze, która dotknęła ludzi za ich chełpliwą chęć bezpośredniego składania odwiedzin Bogu przy pomocy niebotycznej wieży — tłomaczyć bardziej symbolicznie, niż to się pospolicie czyni, znalazłby w niem alegoryę niemniej może znaczącą, jak wielki myt o Prometeuszu. Mógłby w pomieszaniu języków upatrywać naukę i zarazem proroctwo na przyszłość, że, ilekroć rozum śmiertelnika zapragnie zbyt pochopnie rozedrzeć zasłony wszechświatowych tajemnic, nie będzie w stanie porozumieć się z towarzyszami swej wyprawy. Cały bieg umysłowego rozwoju składa się z podobnych zawodów, lecz dlatego właśnie ludzkość tak na nie znieczulała, iż swojego kłopotliwego położenia nie widzi i niezrażona znosi dalej cegły do... wieży babilońskiej. Chwilami pstrocizna mowy — i to jest właśnie najbardziej znamiennem — dochodzi do tego stopnia, że nawet wspólność rodowodu jej nie złagodzi.

Mamy naprzykład przed sobą cztery niemieckie kazania: wszystkie cechuje mniej więcej kapłański ton, wszystkie z należną czcią biją czołem przed dwutwarzowym bogiem Darwino-Haecklem, wszystkie usiłują go sprowadzić z wysokiego piedestału na poziom modnego i popularnego bożka, a pomimo to ich widnokręgi są tak odmienne, zasady tak różne, przytem tak małe odstępy czasu oddzielają chwile ich przyjścia na świat, że warto posłuchać tego koncertu, przedziwnie odtwarzającego rozdźwięk ludzkiego myślenia.

Zacznijmy od najgłośniejszego. Nosi ono nazwę: *Podstaw prawdziwej religii natury podług Darwina i Haeckla* *). Kaznodzieja imienia swego nie wyjawił. Nie mogąc znieść, ażeby, gdy w jednej dziedzinie wiedzy zapełniono wielką lukę, siostrzyce jej nie miały z wynalazku skorzystać, bez namysłu przecina gordyjski węzeł zagadnień filozofii i społecznego życia tym samym mieczem, któremu skromny geniusz szerszego zastosowania dawać nie zamierzał wcale. Tym sposobem na funt pustego zapału przypada zaledwie gran istotnej treści. Mówca prawi, że życie z całą swoją wielką organizacyą stanowi nieodłączną część maszyny wszechświata, zrodzoną rozumie się także z praw mechanicznych. Przez tak zwany akt twórczy nic powstać z niczego nie mogło, albowiem nicości, jak i niebytu pojąć niepodobna. Dalej w rosnącym zapale reformatora wola: „Duchowi nie może być wogóle przyznaną żadna wyższość nad materyą.“ W końcu robi ze swojego godła użytek wychowawczy i moralny: uczcie dzieci wasze odróżniać fakty od zmyślenia, prowadźcie je „na pasku logiki.“ a staną się chlubą społeczeństwa. Przekonany najgłębiej, że „religia natury“ *każdemu bez wyjątku* zastąpić może wiarę, a komórka organiczna — świątynię, przepowiada, że gdy ogół nasiąknie dostatecznie zasadami rozwoju, nadejdzie era prawdziwej moralności, w której największą karą będzie nie pozaziemskie piekło, ale własne zgryzoty sumienia, wstyd przed sobą i przed ludźmi.

Drugiego kazania oszczędzimy czytelnikowi. Mizerny ten zlepek nie zasługuje na to. Dosyć będzie, gdy powiemy, że jest to skończony katechizm, owiany duchem, który w kościele nazywają „nieomylnością.“ Rozumowania w nim niema, dowodów również. Tutaj zdobycze biologii i fizyki wyglądają tak, jak gdyby wypowiadały ostatnie słowo a badania ludzkie stanęły już u mety. Za to przyjrzyjmy się stronie zewnętrznej.

Zdobi je napis: *Wyznanie wiary nowoczesnego przyrodnika* *). Ale już na drugiej karcie apostoł odwołuje hasło. Ktoby chciał widzieć sztukę powiedzenia czegoś o wszystkiem: o wszechświecie, ziemi, człowieku, zwierzętach, przestrzeni, czasie, cywilizacyi na 30 stronicach maleńkiej ósemki, a w gruncie rzeczy o niczem, niech sobie ten podręcznik niemieckiego dogmatyzmu kupi. Jeśli jednakże, powodowany przezornością zapyta wprzód, co skłoniło autora do narzucenia wynikom szczerej nauki osobistych uogólnień i urojeń oraz ujęcia ich w niby-system, złożony z samych przytoczeń, ten mu niezmieszany odpowie: że chciał przeciwdziałać nadmiernemu specyalizowaniu się nauki i obznajmić uczonych z rezultatami, osiągniętymi w innych gałęziach; a zagadnięty, dlaczego w takim razie krępuje mikroskopijnymi rozmiarami swą publikacyę, rychło zapomni, co przed chwilą powiedział (w tej samej przedmowie) i odeprze: bo piszę dla wszystkich niepoświęconych. Wreszcie zadowolony z wrażenia, jakie, mniema, że zrobił na czytelnikach, żegna ich słowami: „A teraz ukłon i uściśnienie dłoni wszystkim, którzy są za nami!“

Odkłońmy się również grzecznie i.... zajrzyjmy do *Biblii dla przyjaciół prawdy* **). Tytuł niezaprzeczenie wielce obiecujący. W chórze ludzkości, w którym, jak powiada Scherr, głupota basem swym góruje, nowy Mojżesz jest tylko tenorem lirycznym i śpiewa słodko a sentymentalnie. W harmonijnej, jak arfa eolska, duszy natchionego piewcy rozbrat między nauką a wiarą długo ostać się nie może. Na wszystko przeto, czem dziewiętnaste stulecie karmi nienasycony mózg myśliciela, a co mniej dobrodusznych wprawia w poważną zadumę nad dalszymi losami otrzeźwiałego człowieka, i co niejednego już napełniło szczerością, apostoł ten zgadza się ochoczo, bo posiada szczęśliwą umiejętność widzenia rzeczy z pożądanej strony. Prorok śle ku gwiazdom długi hymn na cześć bóstwa, przenikającego wszechświat, i by mowa jego godną była wyżyn, ku którym się wznosi, przeplata ją odpowiednimi rymami wszystkich nieledwie mieszkańców germańskiego Parnassu. Gdyby surowy duch Spinozy mógł wstać z grobu i widzieć, do jakich to rozkosznych dumań jego pełna ukrytej rezygnacyi nauka pobudza wesołych epigonów monizmu, skonałby powtórnie z zazdrości. „Duch i ciało stanowią jedno: świat materyalny jest ciałem Boga, opanowanym przez Jego ducha;“ widzialne zjawiska i dzieje wszechświata są postępującym naprzód arcydziełem Boga, które w sobie i przez siebie dla niezbadanych nigdy celów stworzył. Bóg dał mi byt, Bóg jest moją siłą, Bóg jest moją nadzieją, bo gdy moją spokojną pielgrzymkę zakończy wołanie cyprysów, pośpieszę w objęcia Przedwiecznego i z nim się zleję. On uczy nas skromności, bo zadziwiając wzrok nasz cudami, sam się za nimi ukrywa. On uczy nas pokory i pobłażania. Miłość, wiara i nadzieja to symboliczna trójca, w którą zaklął Bóg wszystko. Gdy Natanowi chrze-

*) *Die Grundlehren der wahren Naturreligion nach Darwin und Haeckel. Moderne Dogmen für Kirche und Haus.*

*) *Glaubensbekenntnisse eines modernen Naturforschers.*

**) *Bibel für Freunde der Wahrheit.* Die Summe der Weisheit aller Zeiten, Berlin, Elwin Staude, 1878.

ściaaie zamordowali żonę i siedmiu dorodnych synów, posłuszni podszeptom fanatyzmu, jęczał i rwał włosy z rozpaczy, bo któżby na jego miejscu tego nie uczynił? I dla tego, gdy wędrowiec zostawił mu dziewczę chrześciańskie, prosząc, by je wychował, osierocony przyjął je za córkę: to była jego zemsta.

Bądźmy i my takimi. Bądźmy łagodni i cierpliwi. *Tat twam asi!*—mówi Indus: braciom niech to wyjdzie na dobre! Za cnotę nagrody nie żądaj: zapłata zmąciłaby kryniczne źródło moralności, która przecież tkwi w swobodnem, bezinteresownem poświęceniu i zaparciu się dla szczęścia innych. Zaparcie się—wielkie słowo, jakim ciężarem padasz na serca! A jednak ten tylko może być szczęśliwym, kto swe pragnienia i żądze raz na zawsze poskromił. Pracuj i bądź wytrwałym! Praca cię zbawi. Święte księgi opowiadają, że był niegdyś raj. Jakże musiał być ponurym! Dwoje nędznych ludzi, bez zajęcia, dążenia, wiedzy, sztuki! A tymczasem przed tobą roztacza się cały labirynt nauki, nie jesteś samotnym, otaczają cię bliźni, którym wprawdzie wiele dajesz, lecz od których więcej jeszcze odbierasz. Czegoż chcesz więcej?

— Chcę indywidualnej nieśmiertelności!

— Czyż wstyd nie zarumienia ci oblicza? człowiek dojrzały podpory nie potrzebuje, tylko dziecię i kaleka o własnych siłach chodzić nie może!

Odetchnijmy. Uniesienie męczy i niesmak po sobie zostawia. Sam prorok widocznie to odczuwa, bo od czasu do czasu zniża lot swój ku ziemi dla zaczerpnięcia mniej eterycznego powietrza. W tych przerwach można go słuchać bez obawy zawrotu głowy. Uwaga skierowana na biologię i antropologię nie błądzi po manowcach. Zagadnień rozwiązać nie usiłuje w sposób poetyczny i mężnie je zaznacza.

„Czaszka pierwotnych ludzi była, jak wiadomo, o wiele mniejszą, mózg bogaczów jest mniejszy od mózgu nędzników.“ Postęp człowieka warunkuje się dwoma czynnikami: najpierw zdrowem i obfitem pożywieniem, a następnie swobodą i kształceniem młodych pokoleń. Najdalej posuwają się duchowo i materyalnie te osobniki świata organicznego, które natura hojniej zaopatrzyła w broń do wiecznej walki o byt. Wszelkie życie i wszelkie istnienie jest procesem; wszystko płynie po bezbrzeżnym oceanie wieków: zginie ród ludzki, ostygnie ziemia, wygasną gwiazdy, zmartwieją systematy słońc. Czy bóstwo będzie o tyle potężnem, by je na nowo do bytu powołać?

Milczcie, gadatliwe usta! Po co pytacie o cele i plany, czyż was teraźniejszość nie zadawalnia?

Co do autora, to on tak zagadnięty, prawdopodobnie w kłopocie by się nie znalazł. Spokoju jego i równowagi starczyłoby na wielu, mniej skłonnych do godzenia się z szydersko - nieubłaganą lakonicznością wiedzy. Tak niezachwianie wierzy, że pogoda jego udzieli się innym, iż krystalizuje nią mądrość swą w zwięzłą modlitwę codzienną, której zakończenie brzmi: „Wszystko jest Bogiem, wszystkiem jest Bóg,“ przyczem ten ostatni wyraz zajmuje oddzielną stronnicę, okolony mistycznie przepysznym wieńcem z kwiatów.

Kogo kołysze nadzieja, że postępy doświadczalnej wiedzy zniechęcą do zapuszczania się w metafizyczne dociekania, lub przynajmniej wprowadzą w nie jaki taki ład i jednozgodność, albowiem zjednoczą zwolenników swobodnej dotąd spekulacyi wspólnym punktem wyjścia, ten niech zmierzy przepaść, dzielącą pan-mechanizm dwóch pierwszych kazań od panteizmu ostatniego i zważy, że wszystkie z jednaką skwapliwością korzą się przed teoryą rozwoju—a rozczarowanie przyjdzie już samo.

Ale niedosyć na tem. Kazanie czwarte odsłoni nam inny jeszcze obraz. Tło jego jest czarne i może przestraszyć słabe nerwy przywykłych do lazuru nieba pieszczochów. W galeryi, którą tutaj przedstawiamy jest on niezmiernie ważnym, bo jako znamię wieku uzupełnia charakterystycznie wielojęzyczny chaos babilońskiej wieży. Dla amatorów goryczy *Testament ucywilizowanego*, czyli ostatnie wyniki współczesnych poglądów i dzisiejszego stanu rzeczy *), posiada nieocenioną wartość uwag i spostrzeżeń rubasznym i sarkastycznym rozpowiedzianych tonem, lecz prawie zawsze słusznych. Nowych odkryć nie ma w tej bezimiennej spuściznie; ale jest pokaźna doza cywilnej odwagi; co w naszych czasach niemałą stanowi rzadkość. Ponurem okiem ten nieprzyjaciel złudzeń ogarnia wszystko, co człowieka dotyczy i interesuje i śmiałą ręką rozdziera różowe złudzenia. Nie unosi się nad bogatem uposażeniem naszej natury, nad bystrością zmysłów i przenikliwością rozumu. Toż nasz wzrok i słuch nagiej prawdy nam nie odsłania, lecz jedynie jej kłamliwy pozór a wyobrażenia nasze o tyle tylko są wiarogodniejsze od wyobrażeń zwierzęcych, o ile więcej mamy pyszałkostwa. A cała różnica między naszą a czworonożnych mądrością sprowadza się do różnicy w długości nosa: widzimy tylko tak daleko, jak sięga jego koniuszczek. Przyroda, którą ubóstwiamy, nie stworzyła nas doskonałymi a tem samem potężne i mądrości swojej smutne wystawiła świadectwo. Nie pozwala nam zrozumieć skończoności we wszechświecie, a nieskończoności wyobrazić sobie nie uczy; rozkoszuje się widokiem męczeńskiej śmierci słabszych, padających pod kłami i pazurami silniejszych i nie wiadomo na co wciąż nowych stwarza kandydatów do krwawych hekatomb walki o byt. Wszczepiła w człowieka instynkt towarzyski a jednocześnie zmusza go do wyrywania kęsa chleba ze zgłodniałych ust bliźniego. Na oczy zarzuciła nam świetlaną gazę i obałamuceni, palimy kadzidła duchowi postępu i kultury, chełpimy się wyższością naszej cywilizacyi, pogardliwie spoglądając na surowych azyatów... Naiwni! ślepi!

Głupota pociąga za sobą zbrodnię. Dajemy życie tuzinom dzieci, mało kłopocząc się myślą, że bierzemy na się straszliwą odpowiedzialność za przyszłą, prawie niechybną niedolę podobnych nam istot — i to wszystko, jak mówi Schopenhauer dla... jednego lubieżnego spazmu. Mogąc oszczędzić boleści sobie i innym, szerzymy ją na wszystkie strony. Nienauczeni głodem, chcemy i w przyszłości cierpieć męki Tantalowe, ufni, że w potrzebie modlitwa nasyci nam puste żołądki. Nie widzimy, że spiżarnia mała a żebraków dużo, coraz więcej. Przestrogę wielkiego Maltusa lekceważymy, aż nareszcie *dies illa* otworzy nam oczy — niestety — zapóźno!

Szanujemy wrażliwość czytelników i Hiobowej pieśni tej nie dociągamy do końca, a zawiera ona jeszcze sporo goryczy. Jeśli i tego, cośmy powiedzieli — za wiele, na nikogo za to wina nie spada. Testator nie rości pretensyi do nieomylności, nie dobija się o wdzięczność obdarowanych i.. mało go obchodzi, czy spadek zostanie przyjęty.

My zrobiliśmy swoje: przyrzekliśmy pokazać wieżę Babel w jej nowoczesnem oświetleniu. Niech teraz kto spróbuje ujednostajnić mowę jej murarzów...

N. H.

*) *Die letzten Folgerungen aus den Zeitansichten und der heutigen Zuständen. Vermächtniss eines Civilisirten.* Berlin bei Elwin Staude, 1877.

Z Heidelberga.

Listopad, 1883.

Akt uniwersytecki w rocznicę założenia wszechnicy.— Nadchodzący jej jubileusz pięćsetletni. — Telegram od Miklosicha. — Autograf Mojżesza. — Jako Hamlet był dziewicą. — Uczona Indyanka w Oxfordzie, a pan Stöcker w Londynie. — Świecki dostojnik w Uri. — Stowarzyszenie bez składek i zapisów.—Mięso w piątek. — Precz z prusakami! — Polszczyzna wasserpolaka. — Bitwy pod Solferino nie było. — Nowe dzieła: Zellera, Deussena. — Nowiny literackie polskie.

W rocznicę założenia uniwersytetu tutejszego (22 listopada 1386) odbył się zwykły doroczny akt w auli, na którym, wedle obyczaju, odczytano sprawozdanie o biegu spraw uniwersyteckich, o nagrodach, udzielonych za prace konkursowe, rektor zaś wygłosił mowę o obchodach jubileuszowych dawniejszych, opisując w sposób zajmujący, jak i kiedy święcono ważną tę dla Heidelberga uroczystość. Wybrał on temat z tego powodu, że za lat trzy nadejdzie pięćsetletni jubileusz wszechnicy, który ma być świetnie obchodzony. Profesorowie i uczeni tutejsi rozebrali już od lat kilku pomiędzy siebie różne, odnoszące się do tego, badania, tak aby wspólnemi siłami sporządzić dokładne i obszerne dzieje uniwersytetu, od dnia założenia jego. Przy tej sposobności postanowiono oczyścić i przebudować gmach, który obecnie odznacza się niesłychanem zaniedbaniem, powiedzmy szczerze, niezwykłymi brudami i niewygodami. Po ogłoszeniu materyałów historycznych, można będzie ułożyć listę rodaków naszych, którzy tu studyowali, a było ich nie mało.

Ze sprawozdania rektora dowiedzieliśmy się, w ubiegłem letniem półroczu uczęszczała do uniwersytetu tutejszego największa liczba studentów od czasu założenia jego—przeszło tysiąc stu. W semestrze bieżącym, jak zwykle w zimie, mniejsza jest ilość; polaków kilku tylko. Ci, w połączeniu z innymi mieszkającymi tu rodakami, wysłali 20 listopada Miklosichowi do Wiednia zbiorowy telegram polski, z powinszowaniem siedmdziesiątej rocznicy jego urodzin, łącząc się do innych głosów całej Słowiańszczyzny. W jak harmonijny chór splatały się one na samym obchodzie wiedeńskim, o tem już musicie wiedzieć z dzienników tamecznych. Musicie znać też szczegóły obchodu otwarcia teatru praskiego, pod hasłem „naród sobie,“ więc o tem nie piszę.

Przed kilku miesiącami wielki rumor powstał od wschodu: p. Szapira, rodak nasz mojżeszowego wyznania, przywiózł z Jerozolimy, gdzie jest księgarzem, kawałek skóry, nie wiem czyjej, a na tym kawałku był wypisany ustęp z Deuteronomium, zawierający mowę pożegnalną Mojżesza. Nie byłoby w tem jeszcze nic nadzwyczajnego, gdyby p. Szapira nie twierdził, że pismo owo jest niezmiernie starożytnem, mniej więcej autografem samego Mojżesza lub Arona, lub czemś bliskiem tego. Za ten skarb nieoceniony, właściciel, *excusez du peu*, żądał tylko milion funtów szterlingów, czyli dziesięć milionów rubli. Po zbadaniu jednak tego mniemanego zabytku okazało się, że jest mizernym i nieudolnym fabrykatem: dowiódł tego Guthe w świeżo ogłoszonej książce (*Fragmente einer Lederhandschrift, enthaltend Moses letzte Rede*, Lipsk u Breitkopfa). Kto sfałszował skórzany ten manuskrypt? Oczywiście nie bibliopola jerozolimski, ale jakiś arab, który niby go znalazł w pewnej jaskini moabickiej i dobrodusznego księgarza w błąd wprowadził. Ten zaś liczył swoją drogą na dobroduszność anglików i gdyby nie chytrzy niemcy, wyszedłby może świetnie na przedsięwzięciu, świetniej od autora niedawno wydrukowanej rozprawy

angielskiej, o tem jako Hamlet był... dziewczyną. Tak, p. Vining, którego wiekopomne odkrycie uczczono przekładem książki jego na język niemiecki (*Das Geheimniss des Hamlet*, Lipsk, 1883 u Brockhausa) dowodzi śmiało, że wszystkie wskazówki przemawiają za płcią niewieścią bohatera szekspirowskiego. Brakowało, powiada on, męskiego następcy tronu, więc wychowano dziewczynkę jako niby chłopca; kochała się ona w Horacyu i była zazdrosna o Ofelię, która w tymże Horacyu zadurzyła się. Hamlet była to histeryczka, brody, ma się rozumieć, posiadać nie mogła i dlatego to na scenie widzimy osobę jej jako gołowąsa; dlatego też nie klnie ona nigdy energicznie, ma wstręt do hulanek kawalerskich, wcale nie po kawalersku z Ofelią się obchodzi, radzi jej iść do klasztoru, a duch ojca nazywa ją (Hamleta) po imieniu, ani razu nie mówiąc: synu!

Po tem znakomitem odkryciu, łatwiej już nam przychodzi uwierzyć, że panna Ramâbhai nie jest przebranym chłopcem, wysłanym przez przebiegłych braminów z Indyi do Oxfordu, na pokuszenie sędziwego Maksa Müllera. Panna ta mówi po sanskrycku zdumiewająco płynnie, improwizuje wiersze sanskryckie na zadaną miarę, choćby najtrudniejszą i jest podobno pierwszą braminką, która ziemię europejską depce.

To też ją przyjmują w Oxfordzie daleko uprzejmiej, aniżeli ojca Stöckera w Londynie. Zechciało mu się pruski koszarowo-chrześciański socyalizm przeszczepić na grunt Albionu; zamarzyło mu się zerwać wawrzyny takie, jakich dostąpili Renan, Kuenen i inni zapraszani na odczyty Hibbertowskie: przyjęto go wyciem i gwizdem, a nawet socyaliści niemieccy, szukający przytułku w Anglii, wyparli się wszelkiej z nim łączności. Łatwiej mu było w domu, w Berlinie, być pogromcą Du Bois Reymonda, chociaż i tu doznał porażki, bo niby w odpowiedzi na napaść Stöckerowską, akademie w Aberdeenie, Glasgowie, Upsali i Petersburgu mianowały prof. berlińskiego swoim członkiem.

Nie wiedzie się ultramontanom i protestanckim i naszym; oto świeży telegram zawiadamia, że w kantonie Uri „stała się rzecz niesłychana:“ rektorem szkoły kantonalnej w Altdorfie *po raz pierwszy* obrano człowieka świeckiego i to jeszcze profesora matematyki! A jednak nie tracą oni ducha i krzątają się jak mogą. Oto np. w Dyseldorfie zawiązało się niedawno stowarzyszenie dla szerzenia dzienników katolickich, na następnych zasadach: § 1. Towarzystwo zamierza jaknajliczniejsze rozszerzanie dzienników i czasopism katolickich. § 2. Przystąpienie do niego odbywa się bez oznajmienia, bez karty członkowskiej, bez składki, prostem postanowieniem woli własnej (więc tylko duchowo, jako votum?). § 3. Każdy przystępujący do stowarzyszenia obowiązuje się tem samem: a) w gospodach i hotelach, do których zajeżdża lub zachodzi, zażądać dziennika katolickiego; b) w każdej podróży kupić choć raz jeden dziennik katolicki; c) w znajomych sobie domach wpływać na abonowanie dzienników i czasopism katolickich. § 4. Towarzystwo jest nierozwiązalnem (czy i w takim nawet razie, gdyby, przypuśćmy, dzienniki katolickie przestały wychodzić?). Mniej idealne marzenia ujawnił komitet wyborczy w Waldshucie, podczas ostatnich wyborów do sejmu badeńskiego. Prezes jego, proboszcz miejscowy, rozesłał hektografowaną odezwę, w której na wstępie zachęca wyborców do głosowania za kandydatem ultramontańskim, a potem dodaje: 3) Po spełnieniu aktu wyborczego zapraszamy panów wyborców do browaru Dietschego; 4) plebania Waldshucka udziela wszystkim wyborcom i uczestnikom obiadu dyspensy od postu piątkowego, t. j. dozwala spożywania potraw mięsnych. Podpisał Amann, proboszcz, dziekan i wyborca. Znaczy to: głosujcie za naszym, dostaniecie za to, choć to piątek, piwka i—*wursztu*, ma się rozumieć na rachunek księdza proboszcza. Otóż i odpusty w nowem wydaniu, które ongi tyle krwi braciszkowi Marcinowi napsuły.

Zagorzalcy z drugiej strony Renu zapędzają się w przesadnym patryotyzmie, jak ci w gorliwości religijnej. Oto np. wyjątek z dziennika *Anti-Prusien*, zawieszonego podobno po awanturze z „ułanem“ hiszpańskim. Pod rubryką zapytań, czytamy: Czy to prawda, że magazyny à la ville de St. Denis wystawiają w swych oknach, *bez żadnego wstydu*, towary niemieckie? Czy to prawda, że p. Hassenkampf, rue des Jeûneurs, jest b. porucznikiem, czy też podporucznikiem ułanów (ma się rozumieć pruskich? Czy to prawda, że p. Defresne, cukiernik na ulicy St. Martin, trzyma u siebie niejakiego Schillinga, prusaka z Kolonii? Czy to prawda, że clowny Orsani w Cirque d'été, są pochodzenia i narodowości pruskiej?“ i tak dalej. Biedni clowny cyrkowi, i wy nie dajecie spać redaktorowi paryskiemu. Przychodzi na myśl trwoga p. Aksakowa o granicę polsko-austryacką...

Moje niepokoje o czystość języka polskiego w pewnym zakordonowym dzienniku doprawdy więcej mi się zdają uzasadnionymi od powyższych. Gdy czytam takie np. ogłoszenia i wiersze, jak, „Sprzedawaczki różnej branży, osiągną od każdego czasu dobre umieszczenie,“ albo:

„Jakżebym wolał po dniach tej długiej skrzepoty
W te pachnącego maja zielone rozploty
Wionąć do państwa..
A tymczasem, w swem ślicznem Ostrowiu,
Dni tych otuchą karm się, w bieżących — niezdro-
[wiu...“,

gdy to czytam, mimo woli zapytuję siebie, czy „to twój stary znajomy, to dźwięk polskiej mowy?“

Drażliwość narodowa tak się wydelikaciła w naszych czasach, że gdzie na przykład są uczeni austryaccy, tam nie może wisieć obraz, wystawiający bitwę pod Solferino. Świeżo zasiadał zjazd gieodezyjny w Rzymie, mający bardzo piękne zadanie: ustalić wiadomość o kształcie i ciężarze ziemi, wybrać jeden południk dla całego świata (uznano angielski za powszechny) i jedną godzinę, mianowicie czwartą po południu, ujednostajnić typ map wojennych według wzoru Cassiniego itd. Otóż ze względu, że pomiędzy uczestnikami kongresu było paru austryaków, uznano za rzecz stosowną zasłonić wiszące w sali malowidło, przedstawiające porażkę wojsk apostolskich pod Solferino. Czy nie zanadto posunięta uprzejmość z jednej, a przypuszczalna drażliwość z drugiej strony?

List mój nie byłby zupełnym, gdybym z krainy, wydającej takie specyalne czasopisma, jak np. *Daemon, Kosmetisches Organ für Kunst, Wissenschaft und Weltverkehr* (od r. 1884 w Lipsku), nie doniósł nic o nowych książkach. Ukazuje się ich, wiosennych i zimowych szczególnie miesiącach, liczba przerażająca, z matematyczną pewnością przepowiedziana przez statystykę porównawczą z lat i miesięcy poprzednich. Zwróćmy uwagę na parę nowości wybitniejszych. Prym trzyma pomiędzy niemi skrócona historya filozofii greckiej Edw. Zellera (*Grundriss der Geschichte der griechischen Philosophie*, Lipsk), ogłoszona przed paru tygodniami. Dla tych, którzy oceniają należycie obszerne dzieje tegoż przedmiotu, przez tegoż autora, streszczenie ich w tom niewielki pożądanym i długo oczekiwanym jest nabytkiem. Nie rozwodząc się nad zaletami dzieła tego, które dostatecznie poręcza pierwszorzędna sława autora, podnoszę parę tylko szczegółów. Na str. 3 zaprzecza Zeller uzasadnienia takim poglądom (a panują one w konstrukcyjnych głowach niemieckich aż po dziś dzień i to przeważnie), które pragną w dziejach myśli greckiej upatrywać logiczne wcielanie jakiegoś niby z góry nakreślonego programu i pewien systematyczny a postępujący szereg, wywijających się jedno po drugiem i jedno z drugiego zagadnień, które, niby list zapieczętowany, jeden filozof podaje drugiemu do rozwiązania. Takie pojmowanie dziejów filozofii bardzo ładnie wygląda na papierze, jako dowcipna konstrukcya, ale nie jest ani prawdziwem, ani faktami uzasadnionem. Powtóre, pomimo nieprzerwane usiłowania uczonych, którzyby chcieli na wschodzie (w Indyach, Egipcie, Asyryi itd.) szukać świtu myśli ludzkiej i poszukiwać dalszego ciągu, a przynajmniej refleksów jego w systematach filozofów greckich, Zeller obstaje za bezwarunkową oryginalnością myślicielstwa heleńskiego: Tales jest dlań alfą... a jednak sama ta nazwa pierwszej głoski abecadła greckiego jest zapożyczoną od semitów, tak jak i cały alfabet, jak dużo bóstw i podań greckich; a też wzmianki o oryentalnych cywilizatorach Grecyi, a te, uparcie powtarzające się w biografiach filozofów greckich wędrówki ich na Wschód i do Egiptu; a owo uderzające podobieństwo rozwoju filozofii indyjskiej do greckiej, które mimo woli nasuwa mnóstwo porównań, gdy się np. czyta świeżo ogłoszoną i bardzo życzliwie przez krytykę przyjętą pracę docenta berlińskiego Deussena, p. t. *Das System des Vedanta... Compendium der Dogmatik des Brahmanismus* (Lipsk, 1883, str. 535)?

Przenosząc się na pole bliżej nas obchodzące, podzielić się mogę z czytelnikiem kilku wiadomościami, które go pewno uradują. Naprzód: obszerna, na tle rzymskiem osnuta powieść p. Orzeszkowej, p. t. *Mirtala*, której pierwsze rozdziały szczęśliwy los dał mi poznać z rękopisu, ukaże się wkrótce w *Kłosach*, z ilustracyami, obyż równie jak tekst udatnemi; powtóre: praca tejże autorki o dziejach i położeniu kobiet w Polsce, tłomaczoną jest obecnie z rękopisu przez p. Zofię Miłkowską na język francuzki i angielski, i niedługo wyjdzie na świat w obu tych językach, jako część wielkiego wydawnictwa, przedsięwziętego przez amerykanina Stauntona pod ogólnym tytułem: *Stan kobiet na całym świecie*; początek jego ukazał się parę lat temu i zawiera opis życia niewiast amerykańskich.

Żelechowskiego słownik ukraińsko-niemiecki posuwa się naprzód i doszedł już wyrazu „Ihryszcze“; należałoby liczną prenumeratą podtrzymać to sumienne i pożyteczne przedsięwzięcie autora, które tymczasem, nim otrzymamy dobry słownik ukraińsko-polski, zastąpić może brak jego, w celu bliższego poznania coraz to bujniej rozkwitającej literatury ukraińskiej, nie mówiąc już o niezrównanej piękności pieśni ludowych, bratniego tego plemienia. Kończę doniesieniem, że po przekładzie litewskim *Witolorandy* Kraszewskiego, przez nieznanego mi poetę, otrzymamy wkrótce takież tłomaczenie *Konrada Walenroda* przez p. Mieczysława Dowojnę-Sylwestrowicza, znanego czytelnikom zapewne korespondenta czasopism i dzienników naszych. Ile, z łaskawie mi udzielonych próbek, wnosić mogę, nie będąc rodowitym litwinem, nowa ta, a tak treści utworu odpowiednia szata, bardzo będzie wytworną i zgodną z pierwotworem.

Jan Karłowicz.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Adolf Weissblat. **Pogląd porównawczy najgłówniejszych cyfr dotyczących budowy i eksploatacyi kolei żelaznych tak krajowych jak i zagranicznych**, Warszawa.

Maleńka ta broszurka o 24 stronicach jest owocem sumiennych studyów i zmud-

nej pracy autora. Główna jej wartość polega na ugrupowaniu zebranych materyałów, przedstawionych sposobem graficznym w kolorowanej tablicy. Ma to być niby ułatwieniem, przeciętnemu jednak czytelnikowi utrudnia tylko badanie przedmiotu. Ale cyfry zestawiane przez p. Weissblata posiadają taką dobitną wymowę, rzucają tak jasne światło na sprawy kolejowe, że nawet chociażby trudność była sto razy większą, należy koniecznie bliżej zapoznać się z niemi.

Geneza tej pracy jest następująca. Główny inżenier komisyi do zbadania stosunków kolejowych, Usow, polecił autorowi zebranie odpowiednich cyfr, dotyczących budowy i eksploatacyi dróg żelaznych krajowych i zagranicznych za rok 1880.

Rezultatem tych badań było przeświadczenie, poparte zresztą niezbitymi dowodami, że koleje w Rosyi i Królestwie budowane są za drogo. Nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych — kraje europejskie, a zwłaszcza Szwecya, są dobitnym przykładem, że te same roboty wykonać można daleko taniej.

Mniej, co prawda, będzie szyku, ale więcej pożytku dla społeczeństwa. P. Weissblat dochodzi do przekonania, że u nas w normalnych warunkach wydatki na budowę wiorsty drogi żelaznej szeroko torowej nie powinny przechodzić 25,000 rs. Jakże inaczej dzieje się w rzeczywistości. Najtaniej zbudowano drogę bydgoską, ale i tu koszt jednej wiorsty wynosi 48,000 rs. a na innych liniach, jak np. terespolskiej, dochodzi do 76,500 a wiedeńskiej nawet 113,000 rs. To samo da się powiedzieć o Rosyi, tylko tam budowano jeszcze drożej.

Teraz rozumiemy dobrze, dlaczego mamy tak mało dróg żelaznych i dlaczego większość istniejących nie opłaca się odpowiednio, tak, że rząd zmuszony jest corocznie dodawać kilkadziesiąt milionów rubli. Tłomaczy to również szybki wzrost majątków pp. przedsiębiorców kolejowych. Dodać należy, że koszta eksploatacyi są również u nas stosunkowo dosyć wysokie. Jednem słowem dla przyjemności posiadania kilkudziesięciu milionerów, dla możności hojnego opłacania pp. członków zarządu, dla zewnętrznego szyku maskującego braki i nieporządek wewnętrzny — opodatkowany ogół musi dodawać z własnej kieszeni zagwarantowaną różnicę procentów. Pieniądze, których by można użyć było na budowę nowych linij lub na inne pożyteczne cele marnują się — ale za to pokazaliśmy Europie, że umiemy dla fantazyi nie oszczędzać kosztów.

L.

NIEWYDANY WIERSZ J. SŁOWACKIEGO [1]).

Jak kamień szedłem na dno — oczy mi [zagasły,
Ściemniała wnętrz — szatany w jej ciem- [nościach wrzasły,
Uczułem rozerwanie serca... krwawy po- [dział —
W purpurę mię i ciemność Jehowa przy- [odział.
Jam stał zlękły... i walczył z ciemności [obłokiem,
Pruł go i sztyletował błyskawicą, wzrokiem.

* * *

Niedawno jeszcze, kiedym spoczywał u- [śpiony
A sen mój się zaczernił strzałem [1]) peł- [nym dymu,
I w dymie stanął Anioł jak ogień czerwony,
I szepnął mi do ucha: *Ja mord — lecę* [*z Rzymu...*

Jam uciekał i tęczę tak za sobą snował,
Jak Irys — a po tęczach gnał mię ów [przeklęty
Tak, żem spytać go musiał: A któż tam [mordował?
A on mi znowu szepnął w ucho: *Ojciec* [*święty...*

I znowu uciekałem — i kwiatów kielichy
I róże z ducha mego ciskałem za siebie,
Broniąc się — a on za mną jak kurz [i wiatr cichy
Gnał i szeptał: „[ ] [2]).

[1]) Powyższy wiersz, który należy odnieść do ostatnich lat życia poety, znajduje się w autografie przy końcu dramatu Słowackiego p. t. *Z dziejów Wielkiego Nowogrodu* w rękopisach biblioteki Ossolińskich l. inw. 1,792, nr. 4.

[1]) Przekreślono pierwotną i zdaje się lepszą wersyę: „*A we śnie* się zaczernił *kłębem* pełnym dymu.“

[2]) Uzupełnienie Red.

LIBERUM VETO.

Obrońca kanalizacyi. — Wiara w dziedziczność i zachwyt nad powolnością. — Groźba. — P. Lindley porzucający nas na wolę bożą. Strapieni radcowie. — Doskonały kontrakt. — Napaść i krytyka. — Lekceważenie siebie. — Konkurs *Biblioteki Warszawskiej*. — Poszukiwanie wzoru obywatela polskiego. — Zdobycie twierdzy drewnianym koniem. — Mieszaniec. — Jedna wspólna cecha. — Dyalog z przyszłego *Dworzanina*. — Szulerzy i gawrony. — Odpowiedź.

Jeśli „każda Marta znajduje swego Gotarta,“ nie powinno to nikogo dziwić, że i kanalizacya Warszawy pozyskała względy p. S. Janickiego. A już straciłem wszelką nadzieję, już myślałem sobie nieraz: więc to obmówione i ośmieszone a niedołężne dziecię inżeniera angielskiego nie doczeka się nawet w późną rocznicę swych urodzin żadnego powinszowania? Aż oto występuje w *Gazecie Polskiej* p. S. Janicki i oświadcza, że w córce p. Lindleya się zakochał, że ona dojrzewa powoli, bo tak Bóg przykazał tego rodzaju tworom genialnym. Ponieważ zaś dziś o przymiotach niemowlęcia mówić trudno, więc jego przyjaciel chwali ojca z głęboką wiarą w dziedziczność zalet. W p. Lindleyu podoba mu się wszystko, nawet oburzająca prasę flegma. „Cenię — woła — tę jego powolność.“ Niech czytelnik wszakże nie sądzi, że nam wolno cały ten zapał pozostawić jako *solo* i śpiewać odmiennie. Musimy, tak, musimy dostroić się do niego zgodnym chórem, bo inaczej... „*bardzo łatwo* stać się może, iż jak pp. Lindlejów te ciągłe napaści zmęczą i zniecierpliwią, to *poprostu* porzucą nas oni *na wolę bożą.*“ Tam do licha — to nie przelewki! Bo wyobraźmy sobie, że pewnego pięknego poranku p. Lindley syn (ojciec za granicą) kupuje bilet, wsiada do wagonu i po trzecim dzwonku mówi do odprowadzających go radców miasta.

— Kończcie sobie teraz kanalizacyę sami. Adieu, mości panowie.

Mości panowie, zamroczeni tym gromem, idą do biura informacyjnego i wyjmują sobie adres kanalizacyi. Po długich poszukiwaniach i pytaniu stróżów oraz stójkowych, przyrzekających „dołożyć“ rewirowym o zbiegłej, znajdują: dwie tablice pamiątkowe, wmurowane w rozpoczęty kanał za rogatkami powązkowskiemi.

— I my to mamy dokończyć? — pyta rozpaczliwie jeden.

— Tak on rzekł — odpowiada żałośnie drugi.

— A kontrakt! — krzyczysz czytelniku, przerażony tym obrazem.

— „Kontrakt — odpiera p. Janicki — jest dobry *i taki* a *nie inny* powinien był być zawarty.“

A więc „dobrą“ jest umowa, która pozwala jednej stronie porzucić drugą „na wolę bożą?“ Chciałbym nie „zrażać“ i nie „zniecierpliwiać“ pp. Lindleyów, lecz ani na gust, a jeszcze bardziej na zasadę prawną ich obrońcy zgodzić się nie mogę. Inżenierowie angielscy są przedsiębiorcami, którzy zobowiązali się dokonać oznaczonej roboty, za oznaczone wynagrodzenie i w oznaczonym czasie. W podobnych układach o „niecierpliwości“ ludzkiej i „woli bożej“ zwykle niema wzmianki, sądzę też, że magistrat z kontraktu usunął te pierwiastki i zabezpieczył nas przeciwko „porzuceniu.“ P. Lindley nie stara się o obywatelstwo Warszawy, ale podjął się skanalizowania jej dobrowolnie i za pieniądze; nie opuści więc nas, choćby mu zbrakło cierpliwości. Ale co go tak gniewa? „Napaści.“ Ja czytałem tylko krytykę kanalizacyi, p. Janicki wie o napaściach na jej kierownika. Skąd ta różnica? Krytyka bywa u nas często brana za napaść, a napaść za krytykę. Że przedsięwzięcie, które ma kosztować miliony i wywrzeć wpływ na losy wielkiego miasta, wywoła liczne zdania, uwagi i obawy, to wszędzie wydałoby się bardzo naturalnem. My — powinniśmy tylko milczeć i kiwać głowami. A tak się lekceważymy we własnych oczach, że ktoś może bez skrupułu opinię publiczną uciszać groźbą, że wynajęci do robót przedsiębiorcy „porzucą nas na wolę bożą,“ jeśli nie będziemy grzeczni.

Przypuszczam, że p. Janickiego coś tam w tej sprawie rzeczywiście boli, ale chyba dotkliwiej zaboleć powinno ogół takie szyderstwo.

Ot i mamy „wzór obywatela współczesnego,“ którego *Biblioteka Warszawska* daremnie poszukuje. Wyznaczyła ona konkurs, który przeszedł bezpłodnie, gdyż dwie nadesłane prace nie odpowiedziały wymaganiom. Redakcya wszakże ma nadzieję, że wywoła nakoniec drugiego... Górnickiego. Kto spi, temu śnić wolno. *Biblioteka Warszawska* zaś jest już za stara, ażeby nie zdrzemała się nawet wtedy, kiedy czuwać obowiązana. Opowiadano mi, że w pewnej szkole nauczyciel zadał uczniom temat do ćwiczenia: „co wódz powinien zrobić, gdy mu się twierdza nie poddaje?“ Naturalnie nawet prymus nie zgadł. Wtedy profesor oburzony zawołał: „Osły, powinien zbudować drewnianego konia i ukryć w nim wojsko—jak grecy.“

Podobne zadanie postawiła redakcya *Biblioteki Warszawskiej*. Zapatrzona w przeszłość, po za którą w swych pomysłach wyjść nie umie, pamiętając, że Górnicki kiedyś odmalował w swym *Dworzaninie* wizerunek prawego obywatela, który uznano za arcydzieło, osądziła, że... chcąc zdobywać twierdze, trzeba nauczyć się strategiki — z Iliady. Jestto *drzemka panów Prosperów*. Pomijając bowiem inne względy, w epoce Górnickiego „wzorowym obywatelem“ mógł być tylko jeden gatunek człowieka: szlachcic, albo lepiej — *dworzanin.*

Tymczasem dziś mają do tego tytułu prawo najrozmaitsze stany: chłopi, szlachta, mieszczanie, urzędnicy, przemysłowcy itd. Jakże tu więc wynaleźć, a bodaj wymyślić taki okaz, który by w sobie jednoczył wszystkie postacie „wzorowego obywatela?“ Jest tylko jeden sposób podtrzymania konkursu: ogłosić w jego warunkach, ażeby autorowie szukali modelu dla swego obrazu wyłącznie śród ras poprawnych, np. śród posiadaczów własności większej znanych Niesieckiemu. Wtedy łaknący nagrody wiedzieliby przynajmniej, jakiego rodowodu typ mają ustroić we wszystkie cnoty. Bez takiej wskazówki myśl ich zbłąka się w wędrówce od żyda do katolika, od dorobkiewicza do karmazyna, od

bogobojnego do niedowiarka a z tylu wątpliwości zrodzony płód, jak operetkowy major, będzie przypominał mundurem oficera a braniem w roztargnieniu miary na obuwie — szewca.

Czyż jednak rozproszone gatunki owych „obywateli“ nie mają żadnych cech wspólnych, któreby można skupić w pewnym ideale? Owszem, zauważyłem takie znamię. Jest niem niechęć do mycia własnego ciała i czesania własnej głowy. Ile razy ktoś im przypomni tę potrzebę, odpowiadają: dobrze, dobrze, tylko później, teraz muszę czuwać, ażeby mnie nie okradli i nie zabili. Proponowałbym nawet taki dyalog w w przyszłym *Dworzaninie*.

Kryski. Słyszałeś pan o nowem bankructwie Vogelbeina?

Bojanowski. Żyd? Oni od tego są.

Kryski. Niemiec.

Bojanowski. Wszystko jedno.

Kryski. Ale i Kluskowski także się chwieje.

Bojanowski. Cicho! Po co *swoje* brudy rozmazywać. Widzisz waść, ja nie przeczę, że to nicpoń, wszyscy go znają, jak zły szeląg, ale dał na pomnik Mickiewicza 2 rs., odzywa się patryotycznie, zresztą skandal — nie wypada.

Kryski. Ja wszakże powiem zawsze głośno...

Bojanowski. Przez Boga, pamiętaj o biednym kraju...

Stoję po stronie Kryskiego: kocham cnoty mego narodu, ale nienawidzę występków, kocham czystość, nienawidzę brudu, odkrywam, wymiatam, myję swojski stokroć zapamiętalej, niż cudzy. Co mnie obchodzi, że ktoś we Francyi, Anglii lub Niemczech kradnie, rozbija lub oszukuje, ale mnie bardzo obchodzi, gdy jakiś nicpoń rozbija, kradnie i oszukuje w swoim kraju. I dlatego... nie mógłbym służyć za „wzór współczesnego obywatela,“ który winien posiadać przeciwne usposobienie i odmienne zasady.

W imię tej różnicy, z którą prawdopodobnie umrę, niech mi wybaczą wszyscy, którzy stają się coraz częściej ofiarami szulerów w wagonach. Kilka pism krzyknęło: baczność przed oszustwem! ja wołam: baczność przed cielęcą łatwowiernością! Bo kto tu tworzy niebezpieczeństwo: czy szuler, którego można odpędzić jednem słowem, czy gawron, który z człowiekiem nieznajomym zaczyna grać w karty? Niech ci panowie, którzy swoje żony egzaminują przy rachunkach domowych z cen pietruszki a z pierwszym lepszym towarzyszem podróży siadają do preferansa lub dyabełka, siebie naprzód ostrzegą, a wypadków szacherki karcianej nie będzie. Zresztą, czy kto przegrał skutkiem podrabianych kart, czy „nieszczęścia,“ to w gruncie rzeczy wszystko jedno. Zawsze zmarnował pieniądze, które lepiej wyrzucić za okno na pole, bo przynajmniej jakiś przechodzący biedak je znajdzie i raz w rok białego chleba z kiełbasą sobie i dzieciom kupi.

W sprawie biednych i ich opiekunów odebrałem listowną interpelacyę, na którą tu odpowiem. Panie S. M. Wystaw pan sobie, że służymy w wojsku będącem na wojnie. Tymczasem między żołnierzami jednego szeregu wybuchają spory: o zabrany pasek, o pobicie, o wymysły itd. a także prawa do spadku. Jak postąpi z nimi dowódca? Zatargi drobne, jasne, rozstrzygnie natychmiast, ale zawile odłoży i powie stronom: „To sobie załatwicie po skończonej wojnie, a teraz kłótnią nie osłabiajcie mi siły w walce o byt wszystkich.“ Tymczasem adwokat poważnionych rzecze: „Drzyjcie się za czuby, dopóki jeden drugiego nie zdusi, a na jego głupie perory nie zważajcie; ta wojna nic wam nie da.“ Tak mówi nie Marx, nie Lassale, nie Schäffle, ale.. pokątni doradcy socyalizmu, którzy niedawno przylepiali czerwone plakaty w Genewie, urągające uczuciom narodowym. Dlatego, szanowny panie, my do tych apostołów, łających patryotyzm, nie żywimy sympatyi.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Losy naszej sztuki.—Malarstwo i przedpokoje.—Rzeźba i piramidka.—Melpomena i kolacye z szampanem.—Procesy asymilacyi społecznej w Łodzi. — „Izraelskie“ szansonetki. — Porcelana i glina. — Przodownictwo w loży i gaszenie ognia. — Progimnazyum akcyjne w Berdyczowie. — Sądy w kraju zachodnim i przyszła działalność adwokatów.

Malarstwo nasze w braku własnego gmachu przenosi się do przedpokojów arystokracyi. Rzeźba zatańczywszy „Poloneza i mazura“ pod dyrekcyą pana Kurzawy poszła, jak się zdaje, grać w piramidkę. Artyści dramatyczni po pożarze „Rozmaitości“ pocieszyli się teraz widokiem nowego teatru w Pradze, a Melpomena prowincyi ucieka przed zgrają żydowskich śpiewaczek. Tak jest: dramat prowincyonalny potrzebuje współczucia warstw ukształconych i kolacyi — chociażby bez szampana; śpiewaczki potrzebują tylko kolacyi—stąd ich wyższość.

Mówiąc tak, nie mam na myśli Płocka, który, wystawiwszy u siebie „prześliczną“ *Jedną kartę*, obiecuje, iż „pierwszorzędny ten utwór w naszej literaturze, zostanie jeszcze powtórzony“ (?) i czekając powtórzenia „śliczności,“ rozczula się nad Bettiną. Mówię o Łodzi. Jakiś ulubieniec miejscowej muzy, umiejący jeszcze pisać po polsku, opowiada w *Tygodniu* smutne dzieje tamtejszego teatru. Kronika jest rymowaną—zapewne dla większego rozczulenia czytelników. Przed niedawnym czasem zjechało do Łodzi dramatyczne towarzystwo niemieckie. Ponieważ jednak ziomkowie artystów nie przybyli do nas w celu wydawania pieniędzy, więc rymotwórca mógł napisać o „strasznej artystów nędzy“ i o ich ucieczce do Berlina. Gdy trupa z nad Sprei stała się trupem — przyjechał teatr swojski. Obywatelstwo okoliczne, chcąc stanąć na wysokości zadania, popierało gorąco dobrą sprawę. Najpiękniejsze „sztuki“ z personelu były zaproszone przez szlachtę na kolacyę. Natenczas po całem mieście zaczęły się rozlegać krzyki z piersi kantorowiczów, pałających szlachetnem współzawodnictwem. Każdy z nich chciał być również mecenasem sztuki i fundować jej „raków i szparagów.“ Do apelu stanęli tylko artyści; kobieca część personelu pozostała przy Ostojach i Ślepowronach. Szlachta wypowiedziała wtedy wojnę muzom i przestała chodzić do teatru. Kasa jego okryła się żałobą, a rymotwórca *Tygodnia* kazał artystkom „manatki wziąść ze sobą.“ Radość zapanowała w potomstwie Abrahama, które sprowadziło też sobie z Wiednia jakieś szansonetki, zapewne „izraelskie.“

Szlachetny zapał kantorowiczów nie pozwala mi zwątpić o sprawie społecznej asymilacyi żydów. Ostateczne jej rozwiązanie zostawmy odległej bardzo przyszłości, gdyż „przodownicy narodu“ zbliżają się do neofitów wtedy, gdy kieszeń pusta pragnie sąsiadować z pełną. Pod każdym innym względem trzymamy się, panie dobrodzieju, twardo i nie dajemy się pospolitować. Porcelana, z której stworzono „człowieka z towarzystwa,“ nie jest materyałem na przeciętnego członka społeczeństwa. Przepisy obowiązujące mołoch stosują się do porcelanowych figurek o tyle, o ile dotyczą kotyliona lub preferansa.

Tak zapewne myślał sobie właściciel pięknej loży w jednym z prowincyonalnych teatrów, siedząc w niej i spoglądając na scenę. Jednocześnie za kulisami znajdował się na służbie znajomy mu młodzieniec — członek ochotniczej straży ogniowej. Młody pogromca ognia spostrzegłszy duży płomień w oczach damy, znajdującej się w tejże loży, zapragnął przyjrzeć się niebezpieczeństwu zbliska. Jakoż w pełnym uniformie strażaka przedstawił się dystyngowanej publiczności. Obecny naczelnik straży uprzejmie zwrócił uwagę młodzieńca na niewłaściwość postępku, dodając, iż miejsce jego podczas służby jest przy sikawce lub beczce. Uwaga ta była tem słuszniejszą, iż ogień interlokutorki można byłoby ugasić po teatrze; to też strażak zachował się całkiem rozsądnie względem przestrogi zwierzchnika i cofnął się za kulisy. Inaczej postąpił porcelanowy właściciel loży. Znalazłszy się podczas antraktu w bufecie, gdzie był i naczelnik straży, począł on rzucać na wiatr tysiączne wymysły i obelgi na gburowatość zwierzchników wogóle i naczelników straży w szczególności. Gorszącą scenę przerwała, jak się zdaje, Nemezys policyjna. Czy jednak nauczyła ona „przodownika.“ że obowiązki strażaków są cięższe, niż „moralne przodownictwo“ w loży parterowej, czy powiedziała rozdąsanemu, że tytuł nie uwalnia od spełnienia przyjętej na się powinności? Nie wiem.

Daleko piękniej zapragnęli się odznaczyć inteligentni mieszkańcy Berdyczowa i jego okolic. Panowie ci, na czele których stoją dwaj ziemianie i jeden lekarz, zakładają w mieście progimnazyum akcyjne. Ustawa jest już wygotowaną, kapitał prawie zebrany. Tego rodzaju działalność robi daleko lepsze wrażenie, niż nasz lament coroczny, którego stereotypowe odbicie przechowuje się w każdej drukarni: „i znowu setki dzieci odeszły z niczem od progów świątyni nauki.“ Świątynie nauki — a właściwie gimnazya i progimnazya — można wznosić wspólnemi siłami, trzeba tylko pojechać bodajby do Berdyczowa i zobaczyć, jak się to robi.

Wspaniałe gmachy wykończy dla siebie za dni kilka Temida nadniemeńska. W całym kraju zachodnim z dniem 13 grudnia otwarte zostaną nowe sądy — okręgowe. Dla ukształconych prawników — nowe drogi nietylko zarobku, ale i pracy społecznej. Do krynicy naszego życia na kresach wpadną teraz nowe strumienie—bodajby czyste i ożywcze. Jedno głównie mam tutaj na myśli. Młodzi obrońcy, oprócz walk przed kratkami sądów, powinni wypowiedzieć stanowczo wojnę zaściankowemu nicnictwu i ospałości swoich klientów.

Maryan Bohusz.

Ostrowiec. W furgonie pocztowym, wiozącym przeszło 100,000 rs., oprócz konduktora jechało jeszcze dwu pasażerów. Jeden z nich spostrzegł, że tłomoki z rzeczami i pieniędzmi odcięto; postanowiono więc wrócić do Ostrowca. Pod miastem powracający spotkali złodziei i zrabowane rzeczy. Pieniądze w całości odebrano, ale, rozumie się, złodzieje uciekli.

Opole. Mieszkańcy tego miasteczka i okolicy zbierają kapitał potrzebny na otwarcie 4-klasowego progimnazyum. Szkoła mieścić się będzie w gmachu po-pijarskim.

Radomyśl. Niedawno osądzono tu całą bandę koniokradów. Złodzieje mieli zupełnie prawidłową organizacyę. Główny kantor znajdował się w Radomyślu, zarządzało nim 8 członków towarzystwa, jeden pełnił rolę kasyera, drugi buchaltera itd. Rachunki prowadzono porządnie. Oprócz tego w wielu miejscowościach istniały filie. Członkowie towarzystwa w kradzieżach i przechowywaniu koni nie brali udziału, wyręczali ich w tem agenci i wykonawcy. Zarówno kierownicy jak i agenci są wszyscy bez wyjątku żydzi, złodzieje zaś bardzo nędznie opłacani i narażający się ciągle — wszyscy znowu chrześcianie. Okoliczni mieszkańcy opłacali towarzystwu roczne składki, coś w rodzaju ubezpieczenia od kradzieży. Z 85 oskarżonych sąd skaza

42 na zesłanie a resztę na więzienie. Tak donosi kijowska *Zaria*.

Kowno. Miejscowi lekarze otrzymali pozwolenie na założenie towarzystwa lekarskiego. Przedwstępne zebranie przyszłych członków tej pożądanej instytucyi już się odbyło.

Pińsk. Włościanie wsi Łubcza wywłaszczeni zostali z części gruntów pod budującą się kolej żelazną. Fakt ten nie wszystkich dotknął jednakowo; gdy jednym odcięto grunt od chaty, innych droga nie zaczepiła wcale. Żeby zaradzić złemu gromada postanowiła sprowadzić geometrę i dokonać nowego podziału ziemi na równe części. Pieniędzmi wypłaconymi im podzielili się również zgodnie wszyscy.

Lublin. Kilku przedstawicieli miejscowej inteligencyi zamierza wygłosić szereg odczytów o urozmaiconej treści.

Kijów. Niejaki Michał Borozducha, zmęczony robotą podczas upałów letnich, zapragnął napić się kwasu. Ale niestety, butelka tego napoju kosztuje 3 kop., podczas gdy on miał tylko jedną. Wziąwszy na odwagę Borozducha płaci dwa grosze, chwyta butelkę i wypija kwas. Za taką straszną samowolę aresztowano go. Przesiedział naprzód w jednem więzieniu trzy miesiące, potem w drugim jeszcze dwa, w końcu nieubłagany sędzia skazał go na miesiąc zamknięcia. Dopiero zjazd zmniejszył karę do dziesięciu dni — ale najciekawsza rzecz, że dwukrotnie oskarżano go o kradzież i za to przestępstwo skazano wreszcie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 5 grudnia.

Nowe postępy powstania w Sudanie. — Sprawa tonkińska. — Przesilenie ministeryalne w Hiszpanii. — Nominacya kroackiego bana. — Wszystko dobrze idzie.

Stan rzeczy w Sudanie staje się codzień groźniejszym. Sułtanowie Kordufanu (w Nubii) i Darfuru połączyli swe wojska z zastępami Mahdiego. Najświeższe wieści głoszą znowu, że negus abisyński Jan zamyśla skorzystać z kłopotliwego położenia Egiptu i rozstrzygnąć stary spór orężem. Na domiar złego żandarmerya egipska wysłana przeciw powstańcom porzuca szeregi, twierdząc, że zobowiązała się jedynie do służby policyjnej w granicach kraju. Na dezercyę tę niema żadnych środków, zwłaszcza, że według warunków umowy, zbiegowie podlegają jedynie jurysdykcyi trybunałów cywilnych.

O osobie nowego proroka gazety podają teraz ciekawe szczegóły. Mahdi jest synem cieśli, przed dwudziestu laty został derwiszem a pobożność jego i szczodrobliwość zjednały mu szeroką sławę. Na wyspie nilowej Abba założył on rodzaj klasztoru, będącego ulubionem miejscem pobytu fanatyków muzułmańskich. Zebrawszy znaczne bogactwa ogłosił się następcą Mahometa i stanął na czele pan-islamicznego ruchu. Działalność jego nosi w znacznej części reformatorski charakter, wprawdzie reforma ta nie dotyka wielu punktów zasadniczych np. wielożeństwa, ale pod względem społecznym posiada dla tłumów pociągające przynęty: równość wszystkich i wspólność majątków. Czerwona nitka prądów socyalnych, przewijająca się we wszystkich zawikłaniach europejskich, występuje na jaw nawet w Afryce.

Kiedy widnokrąg polityczny w Egipcie zachmurza się, w Tonkinie zdaje się, rozjaśniać. Chińczycy, którzy zajęcie twierdzy Bak-Ninh przez wojska francuskie postanowili uważać za *casus belli*, ustąpili niespodziewanie z tej miejscowości. Wiadomość o tem wywołała na giełdach, zwłaszcza berlińskiej, głębokie wrażenie i uważaną jest powszechnie za nadzwyczajne powodzenie francuzów. Wogóle w kołach politycznych i finansowych starcie z Chinami nie jest prawdopodobnem, chociaż zatarg ten przejdzie jeszcze przez wiele faz i nieraz wahać się będzie między pokojem i wojną. Pośrednictwo Anglii jest przewidywane, w tym celu zapewne, dla nadania sobie powagi, wysłano posiłki dla wzmocnienia załóg angielskich w stacyach portowych chińskich, co zrazu wywołało niejaką panikę.

Niedawno utworzone postępowe ministeryum hiszpańskie podaje się do dymisyi. Nie posiada ono potrzebnej większości w kortezach a liberalno-umiarkowana partya Sagasty, która z początku obiecała mu poparcie cofa się teraz pod pretekstem, że zamierzone przez gabinet reformy są zbyt radykalnemi. Przesilenie trwa dotąd i niewiadomo jak się zakończy, najwięcej widoków ma rząd koalicyjny złożony z żywiołów zachowawczych i liberalnych. Ponieważ postępowcy hiszpańscy znani są ze swych gorących sympatyj dla Francyi, opinia publiczna łączy tę sprawę z pobytem następcy tronu niemieckiego w Madrycie. Książe ten zwiedza teraz południowe prowincye i myśli powrócić do ojczyzny przez Francyę. Dla uniknienia przykrych zajść, jakieby go w podróży tej spotkać mogły, prowadzą się teraz układy z rządem rzeczypospolitej, co do szczegółów i bezpieczeństwa przejazdu.

Kwestya nominacyi bana Chorwacyi została wreszcie załatwioną. Tymczasowy namiestnik baron Ramberg otrzymał dymisyę a banem mianowany został hrabia Kuhen-Hederwary, ministrem zaś do spraw kroackich — Bedekowicz.

W Serbii Christicz w dalszym ciągu wiesza lub więzi radykałów, książę bulgarski układa się z Zebraniem narodowem o zmianę niektórych artykułów konstytucyi, wreszcie zabójca szpiega Carey'a, nazwany w lojalnem oburzeniu przez pisma warszawskie mordercą, skazany został na śmierć, słowem wszystko idzie dobrze, bo nawet berlińskie pisma nie zaczepiają ani „dziedzicznego wroga“ (Francyi) ani „dziedzicznego przyjaciela“ — Rosyi.

Petersburg. *Journal de St. Petersbourg* zaprzecza wiadomościom, podanym przez dzienniki zagraniczne i powtórzonym przez miejscowe, jakoby utworzoną została specyalna komisya do wyrobienia projektu ustawy, dotyczącej wewnętrznego, politycznego ustroju państwa.

Paryż. Komisya Izby deputowanych odrzuciła wniosek ułaskawienia Berezowskiego.

Berlin. Centrum postawiło w sejmie pruskim żądanie wprowadzenia napowrót zniesionych w r. 1875 artykułów konstytucyi, przyznających kościołowi katolickiemu prawo samoistnego regulowania swych spraw. Świadczy to, że układy z Kuryą nie są na dobrej drodze.

Londyn Najświeższe depesze wyjaśniają przyczynę klęski Hicksa-paszy. Żołnierze egipscy wymordowali oficerów-europejczyków i tłumnie przeszli do szeregów proroka.

CUDZE GŁOSY.

Projekt secesyi. Podczas rosyjsko-tureckiej wojny — z okazyi zajęcia Bośni i Hercogowiny przez Austryę — część posłów galicyjskich wystąpiła była z Koła polskiego. Wiadomo, że secesya ta trwała czas niedługi. I powód jej nie był *dla kraju* zbyt doniosłym i liczba odszczepieńców dosyć drobną, zaczem też odstępcy weszli napowrót do Koła, po upływie przyzwoitego terminu.

Myśl powtórnego rozłamu grona posłów polskich w Wiedniu porusza znowu *Nowa Reforma*. Pobudziła ją do rzucenia tego śmiałego projektu niezałatwiona dotychczas a niezwykle żywotna dla galicyjskiego gospodarstwa sprawa decentralizacyi kolejowej, którą gabinet hr. Taaffego przyrzekł Kołu polskiemu rozstrzygnąć wedle życzenia reprezentowanej przez galicyjskich posłów ludności. Dotychczas jednak nie zrobiono pod tym względem nic, ba! są wszelkie oznaki, że załatwienie sprawy wypadnie na niekorzyść kraju. Daje więc na to *Reforma* radę taką:

„Naszem zdaniem—powiada—cała waga spoczywa w delegacyi. Po raz tysiączny powtarzamy: rząd dzisiejszy bez głosów naszego poselstwa nie ostoi się ani 24 godzin. Cóż naturalniejszego i co może pewniej prowadzić do celu, jak oświadczenie: nie czynisz rządzie, czego wymaga interes kraju naszego, a pośrednio także interes całej monarchii—kończy się więc i nasza gołębia łagodność, słodycz, nasze prostoduszne i ślepe zaufanie. Masz wóz i przewóz. Wybieraj między zaufaniem kraju i poparciem jego poselstwa z jednej—a dotychczasową dla potrzeb naszych obojętnością z drugiej strony. Racz pamiętać, że gdy raz upadniesz, już się z upadku więcej nie dźwigniesz, a my mając około 60 głosów, możemy cię utrzymać lub rzucić. Może to będzie nie bardzo grzecznie, ale z pewnością bardzo szczerze i uczciwie. Nie może zaś ulegać wątpliwości, że rząd wobec takiego *dictum acerbum*—ustąpi.“

Gdy jednak większość Koła polskiego w Wiedniu nie bardzo skora i rada do narażania się rządowi i nękania go, gdy wiadomą jest powszechnie rzeczą, że w tem gronie poselskiem wielu jest bardziej rządowych, niż sam rząd — rada *Reformy* nie na wiele by się zdała, gdyby pismo to, konsekwentnie rzecz rozwijając, nie doszło do następującej konkluzyi.

„Wszakżeż w tem Kole—prawi oponentka krakowska — jest mniejszość, która także prawowicie kraj reprezentuje, a mogłaby rozstrzygająco zaważyć na szali nawet samą tylko groźbą uchylenia się od głosowania w pierwszej lepszej ze spraw, mających dla rządu żywotne znaczenie. Kilku posłów, którzy nie przysięgają ślepo na to, co większość zrobiła, robi lub robić zechce, mogliby, zsolidarowawszy się, skłonić Koło do bardziej stanowczej polityki.“

Na wszelkie zaś zarzuty, któreby się wysunąć dały z dziejów dawniejszej secesyi, odpowiada *Reforma* tak:

„Rola mniejszości była w Kole inną dawniej, niż jest dzisiaj. Dawniej można było podejrzywać mniejszość o opozycyę dla opozycyi samej, pomimo że tak nie było. Dzisiaj inaczej. Miano czas przekonać się, że to nie pospolita chęć negacyi nakłaniała ją do tego kroku. A gdy to przekonanie *post tot discrimina rerum* zwycięzyło — mniejszość delegacyjna ma stanowisko znacznie poważniejsze, niż dawniej, i może silniej zaważyć na szali, niż kiedykolwiek. Oświadczenie choćby dziesięciu posłów naszych, że w razie nieuwzględnienia istotnych potrzeb kraju będą przy głosowaniu opuszczać salę—w bardzo wielu wypadkach będzie decydującem. Rzecz naturalna, że dla drobnostki nie można tego czynić. Ależ sprawa siedziby zarządów kolejowych — to już chyba nie drobnostka. Chodzi tu bowiem o usunięcie ostatniego zabytku germanizmu w naszym kraju, chodzi o utrzymanie naszych inżenierów i urzędników, o wpływ kraju bezpośredni na taryfy—a co niemniej ważne, o to, by tysiączne dla kolei potrzebne dostawy i zamówienia nie obcych, ale krajowych zatrudniały fabrykantów, rzemieślników, robotników i przedsiębiorców. Chodzi o jeden więcej środek podniesienia upadającego przemysłu naszego. Więc kampania w tej sprawie podjęta, musi być z całą energią wykonana i zasługuje, aby dla niej postawić kategoryczne: „albo—albo.“ Tego też i tylko tego od naszych posłów wymagamy.“

Wprost *Reforma* nie głosi hasła, ale... któż go w brzmieniu całego artykułu nie słyszy? Prasa milczy na to, co zaś zrobią posłowie—zobaczymy.

Dwie uczciwości. *Gazeta Polska* przedstawia następującą rozmowę między dwiema gazetami rosyjskiemi:

Ruskij Kurier (nr. 247) pisze między innemi, że dawszy pokój Niemcom i Austryi wojownicze dziennikarstwo rosyjskie znalazło nowy przedmiot dla miłego zadowolenia siebie i swej kłótliwości. Za przedmiot ten — powiada *Kurier* — obrało ono sobie polaków. „Nowowremieńscy strategowie“ i dyplomaci, jak wiadomo, cicho siedzieć nie mogą

i wobec braku staré z wielkiemi mocarstwami usilują wzniecać i rozdmuchiwać waśń między Rosyą a innemi, choćby najnieszkodliwszemi, państwami i narodowościami. Taką narodowość stanowią znowu polacy, których, zdaje się, dostatecznie już unieszkodliwili patryoci-ruszczyciele.

Ojcowskie swoje upomnienia wystosowało *Nowoje Wr.* w następujących niemądrych słowach:

„Ciekawą jest rzeczą, że jedna z gazet warszawskich nazwała niewinną frazeologią oceniany przez nas list dosyć rozsądnego polaka z gub. zachodnich,.. Zapewno marzenia są dziś żywsze, niż kiedykolwiekbądź. Więc czegoż chcą dopiąć organa dziennikarstwa polskiego zapomocą tej zaiste „winnej frazeologii," tych prób nowych *profession de foi* względem waśni chronicznej? Jeżeli za cel mają tylko podniesienie ducha narodu polskiego, któremu przeznaczono żyć między rosyanami i niemcami—cel ten z punktu zapatrywania się patryotycznego w istocie jest chwalebnym, ale bezowocnym."

Tak *Nowoje Wr.*—czyni uwagę *Kurier* — pozwala dobrotliwie polakom mieć cele patryotyczne, a nawet je uważa za chwalebne. „Nie do samobójstwa naród prowadzić należy—powiada ono z trójnoga — ale do kultury. Szumnobrzmiącymi frazesami celów politycznych dopiąć niepodobna." „Pożądanym jest pokój—ciągnie dalej—spokojny, cywilizacyjny rozwój każdej narodowości, nie wyłączając i polskiej. Jest pożądanym brak codziennych objawów nieprzyjaźni w stosunkach, bo ta zaostrza je i czyni życie nieznośnem tak dla jednej, jak i drugiej strony. Pożądanym jest rozbrat z bezowocnem rwaniem się, daremnie tylko wzburzającem umysły. W zastosowaniu do polaków wielka polityczna wskazówka przyjaźni odwiecznej Prus z Rosyą daje wiele goryczy, jeżeli się rzeczywiście porzuci mrzonki. Proponowana w *Dzienniku pozn.* walka chroniczna właśnie przyprowadziłaby do samobójstwa."

To już nie proste brednie—powiada na to *R. Kurier*—ale głębokie natrząsanie się nad polskim narodem, zwyciężonym i rozczłonkowanym między trzy państwa. Siepacze „nowowremeńscy" podają mu, jak więźniowi, ocet swej filozofii praktycznej, gdy więzień ten woła: „Pragnę!.. pragnę ludzkiej wolności, życia normalnego i istotnie pokojowo - cywilizacyjnego..." Przecież ludzie z sumieniem i sercem ludzkiem chyba nie odważą się rzec, iż takiem jest życie narodu, umieszczone między perspektywą niemczenia z jednej, a ruszczenia z drugiej strony.

„Nowowremeńcy"—kończy *R. Kurier* — ani domyślają się, naturalnie, w swej naiwności, że naród polski już nieco wyprzedził rosyan co do oświaty, nie czekając na instrukcye nowowremeńskie i że wzrósł do takich szczebli rozwoju, na jakich ukazanie się w dziennikarstwie polskiem organu, podobnego do *Nowego Wr.*, byłoby wprost niemożliwem.

Druga korekta. W nrze 47 *Kraju* czytamy: „Nr. 47 *Prawdy*, podnosząc znowu sprawę p. Piltza z p. Świętochowskim, o której *Prawda* zamierzała początkowo nic nie pisać aż do wejścia sprawy na drogę kryminalną, zmusza nas zaprzeczyć wykładowi przekrzywionych w *Prawdzie* faktów i falszywemu tychże faktów oświetlaniu. Żądaliśmy od p. Ś. naprzód imieniem p. Piltza odwołania obelżywych słów, a później honorowej satysfakcyi. Pierwszego i drugiego p. Ś. stanowczo nam odmówił, ostatniego pod pozorem, że dać satysfakcyi nie może człowiekowi, zostającemu pod zarzutem. Ponieważ p. Ś. nie *raczył* nam nawet *wyszczególnić* (!) zarzutu przez niego podanego i niedowiedzionego, rzecz jasna, że sam uważał drogę akcyi kryminalnej za jedynie właściwą, co też znajduje potwierdzenie w artykule wstępnym w nrze 41 *Prawdy*, wymierzonym przeciwko sądom polubownym (?) literackim. Sądu honorowego nie mogliśmy przyjąć takiego, jaki nam proponował p. Ś., bo w propozycyi nie było mowy o zobowiązaniu się (!) ogłosić wyrok, a była *warowana* i możność krytykowania i jawność samego przebiegu sprawy — *to jest* (?) *prawo*, zelżywszy p. Piltza—sam sąd honorowy w sprawie, gdyby się takowemu p. Piltz poddał—znieważyć i ośmieszyć (!). *M. Kotarbiński*, *J. Szyszło*."

Co wyraz to fałsz lub potwarz. 1) *Prawda* nie wyciągała sporu na widok publiczny, tylko zmuszona raz przez *Kraj*, drugi raz przez sekundujące go *Nowosti*, i uczyni zawsze, gdy będzie w jakiemś piśmie falszywie obmówioną. 2) „P. Ś. raczył wyszczególnić zarzut," gdyż powiedział, że wyraz przez niego użyty nie jest zwykłą obelgą, ale nazwą szeregu przewinień p. Piltza, a nawet odesłał jego pełnomocników po bliższe objaśnienie jednego wypadku do p. M., zastrzegłszy, że na tem nie ogranicza się jego materyał dowodowy. 3) Pełnomocnicy ci żadnej honorowej satysfakcyi nie *żądali*, a jedynym frazesem, który ją mógł wyrażać (nie liczymy groźnego mrugania), było *pytanie* p. Szyszły: „Więc *gdyby* p. Piltz poparł pretensyę swoją wyzwaniem, pan by jej nie przyjął" — na co otrzymał odpowiedź odmowną. 4) Przypuszczenie, że A. Ś. domagał się jawności dla sądu honorowego, ażeby go „znieważyć i ośmieszyć," jest mizernym wykrętem i oszczerstwem, gdyż żądał jej dlatego tylko, ażeby mógł czytelnikom swoim, z którymi utrzymuje stosunek zupełnej szczerości, przedstawić dowody i zeznania osobowe kilkudziesięciu ludzi, na podstawie których zarzut oparł, a które rozgałęzionym aparatem plotkarstwa i paszkwilów przeciwna strona usiłowała osłabić. My niczem nie upoważniliśmy pp. K. i Sz. do tak niskiej i potwarczej insynuacyi; gdybyśmy chcieli pójść w jej duchu, nie wymagalibyśmy wyraźnego *pozwolenia* sądu na jawność; sąd honorowy może prowadzić protokół obrad obowiązujący sprawozdania i zabezpieczyć wyraźnie swój wyrok przeciw zarzutom strony przegrywającej, zatem p. Piltz mógł tylko lękać się sądu, nie zaś przeciwnika. Że zaś lękał się sądu honorowego, przekonywa to, iż nie podał skargi z artykułu o potwarz (dozwalającego dowodzić zarzutu świadkami), lecz o dyfamacyę. Naturalnie ten wybieg prawny wcale nam możności publicznego przedstawienia *całej prawdy* w właściwym czasie nie przetnie.

Czyje tu postępowanie jest rzetelniejszem, dowodzi już chociażby okoliczność, że my w całości przedrukowywamy zarzuty strony przeciwnej.

Powyższe tedy wyjaśnienie pp. Kotarbińskiego i Szyszły uczy nas co najwyżej tego, że powinniśmy byli z nimi rozmawiać przez listy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Koncert na dochód niezamożnych studentów warsz. uniwersytetu odbył się w sali ratuszowej wobec publiczności licznie zgromadzonej i nieszczędzącej oklasków nikomu, nawet orkiestrze teatru, która pod dyrekcyą Quatriniego niezmiernie charakterystyczny ustęp z opery *Demon* Rubinsteina odegrała bez żadnego poczucia charakteru. Największy zapał wzbudził p. Michałowski świetnem wykonaniem na fortepianie poloneza Zarembskiego. Panna Wisnowska, wypowiadając wiersz p. t. *Wachlarz...* była wciąż na scenie w roli *Trzpiotki*, nie zaś na estradzie koncertowej, gdzie całowanie wachlarza z uniesieniem, chowanie się zań figlarne nie przystoi aktorce w sukni kobiety wielkiego świata. P. Seidemann i p. Czernicki w odśpiewanych ustępach solowych okazali wiele umiejętności i dystynkcyi, a pani Brajnin wiele zdolności — poliglotycznych.

Teatr. W teatrze odegrano komedyę Jordana *Słomiany człowiek*, która w znacznej części zawiodła nadzieje, przywiązywane do tego autora. Rzecz okazała się zbyt przeładowaną wywodami ekonomicznymi. Obszerniejszą wzmiankę pomieścimy później.

Odczyty. W piątek (30 lisopada) p. Diehl mówił: „O rozwoju historycznym kolei żelaznych." Prelegent pierwsze próby dróg żelaznych odnosi do XVI wieku; wówczas w kopalniach układano drewniane tory. W połowie XVIII w. zastosowano parę do komunikacyi. Pierwszy, który o tem pomyślał, był anglik Trevitwick, ale wady w wykonaniu przyrządów przeszkodziły mu w urzeczywistnieniu jego planów. Pokonał je szczęśliwie Stephenson i jemu też ojcowstwo wynalazku kolei żelaznych jest przypisywanem. W końcu p. Diehl wspomniał o kolejach elektrycznych, którym wróży świetną przyszłość.

— We środę (5 grudnia) przemawiał p. A. Jabłoński: „O pomniku jako dziele sztuki," przyczem szczególną uwagę zwrócił na projekty pomnika Mickiewicza.

Prasa polska. *Kuryer lwowski* przeszedł na własność W. Manieckiego, drukarza.

— Od Nowego roku zacznie we Lwowie wychodzić pismo tygodniowe dla ludu, *Niedziela*, pod redakcyą Alberta Wilczyńskiego i nakładem „Macierzy polskiej."

— Od Nowego roku pod redakcyą p. Kotłubaja wychodzić zacznie tygodnik p. t. *Hodowca*, poświęcony hodowli inwentarza i sprawom związek z nią mającym a również sportowi i weterynaryi. Przy umiejętnem prowadzeniu pismo takie mogłoby się stać się bardzo pożytecznem.

Ciekawa sprawa. Korespondent *Gazety Polskiej* donosi, że Izba sądowa odeska rozpatrywała sprawę, w której szło o to: jaki jest stosunek prawa z d. 10-go grudnia 1865, zabraniającego nabywać majątki ziemskie w Kraju zachodnim osobom polskiego pochodzenia, do prawa o przedawnieniu. Izba rozstrzygnęła spór uchyleniem wzmiankowanego zakazu względem przedawnienia. Skoro wyrok ogłoszony zostanie z motywami, korespondent obiecuje go podać całkowicie.

Tajemnice statystyki. Wykazy urzędowe za rok zeszły podają, że w Galicyi jedno małżeństwo między chrześcianami przypada na sto osób, a między żydami tylko na 500. Uderza także w oczy ogromna liczba dzieci nieprawych w pośród ludności wyznania mojżeszomego, bo aż 88,5%. Objaśnienie jednak tego dziwnego objawu jest bardzo proste. Prawo zabrania wstępować w związki małżeńskie przed ukończeniem 18 lat, żydzi łamią ten zakaz i zawierają związki w 16 i 17 roku życia, chociaż małżeństwa takie uważane są za nieprawe. Z tego również powodu potomstwo jest zwykle słabe, mało rozwinięte i ludność chrześciańska dostarczać musi o 7000 rekrutów więcej, aniżeli powinna stosunkowo do swej liczby.

Projekt ogólnego spisu ludności w całym państwie przedstawiony już został do zatwierdzenia właściwej władzy.

Zmarli. Kazimierz Krzywicki, b. dyrektor główny komisyi wyznań i oświecenia, przyjaciel i pomocnik Wielopolskiego. Współdziałał czynnie przy założeniu Szkoły Głównej i w reformie wychowania publicznego. Od lat dwudziestu przebywał zagranicą, gdzie w 1878 r. wydał głośną broszurę: *Polska i Rosya*. Wystąpienie to zjednało mu wiele nieprzyjemności, chociaż niewątpliwie działał w dobrej wierze i ożywiony był najlepszemi chęciami.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Albertowi T. Owszem, niech Pan nas odwiedzi a przekonamy, że to jest złudzenie skutkiem niedokładności eksperymentu.

Pani T. L. Pomimo kilku strof ładnych wiersz Pani jest dla *Prawdy* nieprzydatnym.

Pani J. K. Utwór w pomyśle dobry, w wykonaniu nie ma ani źdźbła prawdy.

P. Karolowi S. Pomijając niedokładności artystyczne wiersza pańskiego, jego treść zapomniała o warunkach drukowanego słowa.

X. Y. Z. „Tych ludzi, oddających życie za swoją *ojczyznę*, każda redakcya itd" *Tych*? — Zawsze i wszędzie czcimy, ale nie tych, którzy z niej drwią w imię dobra robotników angielsko - francusko - hiszpańsko-polsko-rosyjsko-niemiecko-greckich. Tym nie idzie o żadną ojczyznę, a jeśli giną, to nie za nią.

P. A. Z. w Kijowie. Wysłany. Przypuszczamy, iż Pan pyta o krytyków literackich: Chmielowski, Spasowicz, (z innego obozu) Kaszewski i po części Tarnowski, który jednak bywa zwykle zbyt powierzchownym.

P. Danielowi K. Dzisiejszy numer na pytanie pańskie odpowie.

Pp. B. i M. Spór Panów przypomina dysputy scholastyczne. Przedewszystkiem sam wyraz: *stanowisko* jest wieloznacznym, nie należy do słownictwa ścisłego, lecz towarzyskiego. „Mieć stanowisko" (ekonomiczne) znaczy w języku powszednim posiadać źródło dochodów, zapewniające samoistność i samodzielność. A zatem kapitalista je posiada, równie i student, gdy rozporządza własnym majątkiem a nie żyje z zapomóg rodziny lub ogółu. Co innego znowu jest stanowisko naukowe, artystyczne itd. Spinoza nie miał żadnego stanowiska materyalnego w chwili, gdy wzniósł się na wysokie—filozoficzne. Podobnie Mickiewicz, gdy na kupienie mleka zastawiał kopertę od zegarka, a był już autorem arcydzieł.

P. Nap. R. Takiego słownika niema.

Sprostowanie. Wzmiankę o W. Siemensie pomieszczono w przeszłym numerze pod rubryką *Odpowiedzi R.* zamiast między *zmarłymi*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Ноября 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski